

ROCZNIK I. 1868. ZESZYT X.

BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Dokończenie).

Stała jak trup blada, milcząca, zdawała się blizką omdlenia.

— Kochane panie moje — zawołał — jakże mi pilno było was oglądać! Ale Bóg świadek, do dziś dnia niemogłem. Przebaczcie mi, żem w Dobrochowie ukrywał przed wami nazwisko moje—musiałem to uczynić nie ze względu na siebie, ale dla drugich, którychby ono kompromitowało. Nie byłto brak ufności ale skutek zobowiązania... Teraz obarczony nad zdolności i siły... nie mam i chwili wolnej... przychodzę tylko ucałować ręce wasze, i nazad... dźwigać ten kamień, co mi na piersi upada.

— Jenerale — odpowiedziała Helena — bądź co bądź... ja mam nadzieję że się jeszcze zobaczyć musimy.

— My... ale gdzie? — spytał pan Tadeusz.

— Ha! choćby na polu bitwy może—zawołała Helena— Chrzest krwi jużem otrzymała... o tem wiecie... nosiłam karabin i nie rzucę go.

Jenerał spojrzał z podziwieniem i smutkiem razem. — O pani moja — zawołał — jest i rąk dosyć i serc jest dość poczciwych — obronim my ojczyznę, jeźli Bóg pozwoli... wy na nas czekajcie u ogniska. Jeźli wrócimy, przyjmiecie nas uznojonych... gdy na spoczynek zasłużym... jeźli nie, niech będzie komu pobożną usypać mogiłę i na niej się pomodlić.

Spojrzał na Helenę, z jej twarzy dawniej swobodnej i wesołej bił zbyt głęboki smutek, ażeby się czegoś nie domyślał, zdawało mu się, że ją zastanie radośniej poruszoną przybyciem przyjaciela. Znał świat — tknęło go to, poczuł że musiał przybyć — za poźno.

— Gdyby to nie było niedyskrecyą — rzekł — spytałbym was, panie moje, co się też z wami przez te czasy działo?

— A! smutna to, czarna historya — odezwała się Helena — lepiej może, abyś ją pan nie słyszał. Co do mnie cała się ona zamyka w jednem słowie... nie jestem panną Heleną, jestem panią... a nazwiska męża wstydzę się wymówić.

Jenerał porwał się z siedzenia.

— Byćże to może! — zawołał.

— Tak jest — odpowiedziała energicznie Helena — ale nie rzucaj na mnie kamieniem, bom ci winna jako przyjacielowi spowiedź szczerą... Ty mnie podźwigniesz może, poratujesz... poradzisz...

Zaczęła biedna... i głosu jej zabrakło nagle, zabrakło odwagi.

— Nie, nie! siły nie mam — odezwała się — ty matko moja, powiedz mu wszystko za mnie.

I zakrywszy twarz rękami uciekła.

Jenerał siedział blady, Ksawerowa podeszła ku niemu i krótko, sucho, z boleścią opowiedziała nieszczęście swoje. W całej tej rozmowie wzmianki jeszcze nie było o tem, kto był mężem Heleny.

Dopiero gdy skończyła, jenerał zapytał ją zadumany.

— Ale któż jest ten człowiek?

— Moskal jest… a zowie się Puzonów.

Nazwisko to nie mogło być obcem jenerałowi; uderzony niem porwał się z wyrazem boleści w twarzy.

— Moskal! — zawołał — Moskal… i on tu jest dotąd!

— Był przynajmniej niedawno — dodała Ksawerowa.

Pan Tadeusz zamilkł w dłoniach kryjąc zachmurzone czoło… milczeli oboje. Naówczas Helena spokojniejsza, ale z oczyma zaczerwienionemi od płaczu, wyszła podając mu rękę.

— Jenerale — rzekła — widzisz, że nie pozostaje mi nic, tylko zginąć…

— Nie — odparł p. Tadeusz, spoglądając na nią z uczuciem — powinnaś żyć i czekać szczęścia, które ci się należy... Los ci je wypłacić musi. — Niechcąc być natrętnym, wziął czapkę, pocałował w rękę Helenę i szepnął z cicha.

— Jedną więcej zemstę… poniosę na plac boju!

LXVII.

Od początku rewolucyi kwietniowej pałac Ks. Wojewody, jak większa część innych pańskich gmachów, stał zamknięty. Wiedziano, że Książę Wojewoda był dobrym Polakiem, ale się do spraw publicznych mieszać nie chciał. Mawiał gdy mu to wyrzucano: — Niech krawcy suknie szyją, szewcy buty, ja się do tego nieporywam, czego nie umiem. Na żołnierzam za stary, a na statystę za głupi.

Zaraz w pierwszych dniach po ogłoszeniu nowego rządu, Księżna Wojewodzina swe klejnoty, Książę srebra swe stołowe kazali odnieść do skarbu publicznego. Ale potem, pałac się zamknął i stał niemy a milczący. Wojewoda niekiedy wychodził sam jeden, wymykając się niepostrzeżony. Księżna jeździła tylko do kościoła. Po niejakim jednak czasie wycieczki częstsze Wojewody ustały, uspokoił się, ludzi którzy do niego przychodzili z jakiemiś tajemniczemi interesami poodprawiał, wszystko weszło w dawne karby.

Małżonkowie spotykając się z sobą, mówili tylko o rzeczach obojętnych.

Dla rozrywki zapewne w jednostajnem a osamotnionem życiu, Książę wziął się znowu do ulubionej alchemii swojej, którą zajęty całkiem o świecie i o tem co go otaczało, zapominał. Wiedziano w domu, iż siadłszy w laboratorium stawał się obcym przyjaciołom, znajomym, i głuchym nawet na wymagania świata wielkiego, które był nawykł szanować.

Z komina pracowni wstęga czarnego dymu ukazała się znowu, i nocą rumieniła się od blasków jakiegoś czerwonego ognia w chemicznym piecyku Księcia. Ludzie pokazując to sobie, głowami tylko milcząco potrząsali.

Wojewoda chybiał na objady, wymawiał się od wieczerzy, pracował nie mając prawie zjeść czasu. Gdy raz zasiadł w laboratorium, najsurowsze były wydane rozkazy, aby mu nikt nie śmiał przeszkadzać. To też gdyby się paliło w domu, pókiby nie zadzwonił, nikt doń wchodzić nie śmiał.

Gdyby król sam (który naówczas z wizytami wcale nie jeździł) chciał zaszczycić Wojewodę odwiedzinami, prawdopodobnie odprawionoby go od schodów, jeźli Książę pracował.

Jednego dnia dano obiad o zwykłej godzinie. Kazał przeprosić Księżnę, iż nie przyjdzie, i wypiwszy filiżankę bulionu, zamknął drzwi za sobą. Pani domu, panna Babska i stary ksiądz spowiednik usiedli sami do stołu. Po południu Wojewoda zajęty nie pokazał się na pokojach, ani na wieczerzę nie przyszedł.

Dziwniejsza rzecz była, że się oddawna z komina laboratorium kurzyć przestało, a Książę nie dzwonił. Słudzy jednak nie ośmielili się przeszkodzić, choć wiedzieli, że nic nie wziął w usta przez cały dzień prócz bulionu.

Do gabinetu tylko o mroku wniosłszy świece czekano.

O północy jeszcze Książę nie zawołał nikogo, dwór więc pozostał na nogach w oczekiwaniu. Wybijały z kolei pierwsza, druga, trzecia… żadnego znaku.

Dziwnem to już było, ale mając do czynienia z dziwakiem a despotą, nic nie dziwi.

Zaczęło dnieć, służba drzemała ale się nie kładła; rozedniało, ruch zwykły dom ożywił. Marszałek dworu poszedł do Księżnej zapytać, coby czynić należało; Księżna odpowiedziała, że rozporządzać nie śmie, że Wojewoda przy swych zatrudnieniach często na chwilę odstąpić ich nie może, bo od tego skutek zależy.

Ale niepokoiło to już wszystkich; kamerdyner ośmielił się wnijść na palcach do gabinetu, przyległego do laboratorium, i usiłował zajrzeć przez dziurkę, ale ją klucz hermetycznie zasłaniał.

W pracowni najmniejszego nie słychać było szelestu.

Po długich naradach, wahaniu, marszałek wziął na siebie… ośmielić się i zapukał…

Raz, dwa, trzy coraz głośniej, a mocniej bijąc, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Książę mógł zasnąć przy robocie znużony; zdawało się to naturalnem. Czekano.

O południu już i ciekawość i niecierpliwość doszły do do tego stopnia, iż posłano po najbliższego krewnego Księcia, pana Podczaszyca, którego on, mimo lekkości charakteru, dosyć lubił.

Podczaszyc nadjechał, zaczął pukać, a nieotrzymawszy odpowiedzi, otworzył drzwi. Ale od progu uderzył go swęd taki, iż się musiał cofnąć przerażony.

Laboratorium pełne było jakiegoś gęstego białego dymu, cuchnącego silnie i przykro. Za tym dymem nic dojrzeć nie było podobna… Słudzy rzucili się do okien, aby je otwierać, dwóch upadło… ale nareście weszło powietrze, zrobiło się jaśniej.

Książę Wojewoda siedział nad pękniętą retortą… książka, która mu z ręki wypadła, leżała przy nim... prze-

chylony był — znać gwałtownym ruchem, na poręcz krzesła, ręce miał wyprężone, całe ciało wyciągnięte... wyraz twarzy straszliwy... oczy otwarte już jakby mgłą zaciągnięte.

Doktor przytomny chwycił za rękę, dotknął piersi — trup już dawno był ostygły. Śmierć musiała, jak się zdawało, nastąpić wczoraj jeszcze. Palna jakaś mieszanina z retorty wypadła, powoli się jeszcze na niedogasłych węglach zarzyła i wydawała ten dym duszący... którego izba była pełną...

Na krzyk ludzi i wrzawę, która napełniła pałac cały, wbiegła przestraszona Wojewodzina i spojrzawszy tylko upadła na progu... Przeraził ją widok trupa, który się zdawał dziko uśmiechać i wykrzywioną twarzą urągał śmierci.

Tak skończył dziwnie, nagle człowiek ten, zabity przez to, co najwięcej kochał w życiu.

Rodzina nie śmiejąc rozgłaszać tego rodzaju śmierci (tak plebejuszowskiej przy aptékarskiej retorcie), utaiła przyczynę zgonu i oznajmiła tylko, że Książę Wojewoda padł ofiarą apopleksyi. Wprawdzie kompleksja nieboszczyka czyniła to mało prawdopodobnem, ale i chudym trafia się nagle umierać.

Pogrzeb był bardzo wspaniały.

LXVIII.

Podczaszyc (pierwszy niegdyś kochanek Betiny), który po najdłuższem życiu Ks. Wojewody miał być jego spadkobiercą, zajmował się wszystkiemi interesami, dopomagając wdowie. Miała ona zapewnione sobie na dobrach dożywocie i kilkakroć stotysięcy oprawy.

Podczaszyc należał do najświetniejszych niegdyś meteorów Stanisławowskiego dworu, człek był światowy, dobry towarzysz do hulanki, choć już nieco poddeptany. Straciwszy ojcowiznę, macierzyznę, stryjowszczyznę i ze cztery ubocznych sukcesyj, bardzo był rad dziedzicząc teraz na starsze lata fortunę ogromną. Dobry humor, w jaki go to wprawiało, chociaż niezmiernie Wojewody żałował, czynił go bardzo grzecznym i w interesach łatwym. Zajmował się niemi gorliwie.

Wśród mnóstwa innych listów, które odebrał z kondolencjami, zapytaniami, prośbami, uderzył Podczaszyca jeden z godłami pobożnemi, pod pieczęcią jakąś klasztorną, wzywający go dla nader ważnego i pilnego interesu, aby raczył zjechać do oznaczonego w piśmie klasztoru.

Zdziwił się bardzo temu wezwaniu, osobiście bowiem nie miał żadnych z zakonami, nawet żeńskiemi stosunków, przypuszczać mógł chyba, że jedna z dawnych jego... bóstw czasowo przebywająca za kratą, nagle uczuła zmianę powołania dowiedziawszy się o spadłej nań sukcessyi. Bądź co bądź stawić się było potrzeba, a że Podczaszyc był zaintrygowany, przed naznaczoną godziną przyjechał do furty. Wpuszczono go natychmiast do parlatoryum, a w chwilę potem postać miłej staruszki zjawiła się za podwójną kratą, pozdrawiając go pobożnie.

Podczaszyc z wielkiem uszanowaniem powitał przełożoną, usiadł i czekał nie mogąc jeszcze domyślać się sprawy, która go tu sprowadzała.

— Bardzo przepraszam — odezwała się Ksieni — żem pana fatygowała... ale w istocie nie mogłam się udać do kogo innego, tylko do spadkobiercy Księcia Wojewody.

— A ha! — pomyślał Podczaszyc — idzie o jakiś legat lub obietnicę.

— Sprawa to — mówiła Ksieni — wymagająca tajemnicy, ale Książę Wojewoda zostawując dyspozycye tyczące się jej, musiał je panu powierzyć.

— Testament został otworzony.

— A w testamencie czy niema punktu tyczącego się osoby, przebywającej tu z woli ś. p. Księcia? — spytała przełożona.

— Z jego woli przebywającej tu osoby? — spytał Podczaszyc zdziwiony — o żadnej osobie nie wiem.

— Czyliżby Książę nikomu tego nie zwierzył?

— Zdaje mi się, że nie — rzekł Podczaszyc — jednakże z obowiązku spadkobiercy i krewnego powinienem wiedzieć o co, o kogo idzie?

— Z polecenia władzy duchownej na prośbę Księcia Wojewody, przed kilku tygodniami przywieziono tu osobę... w średnim wieku, która miała być poźniej przewiezioną do jednego z klasztorów naszych we Francyi. Wojewoda życzył sobie, aby oblokła suknię zakonną... a przynajmniej ażeby pozostała u nas, dopóki nie postanowi o jej losie.

Podczaszyc słuchał niedowierzając prawie swym uszom, tak mu się wydawało dziwnem. Znał on dobrze życie Księcia Wojewody, nie było w niem tajemnic, intryg, i o stosunki żadne posądzić go nawet nie było podobna, wymagające środków, które tu były zastosowane. Cóż to być mogło! co tu czynić wypadało? tracił głowę.

— Ale nie mógłżebym widzieć się z tą osobą dla wybadania jej? — zapytał — możebym zrozumiał o co idzie... bo w istocie sprawa ta jest dla mnie więcej niż ciemną... jest niepojętą. Więc ta osoba... była tu przewiezioną z polecenia Ks. Wojewody?

— Na to jest własnoręczne pismo jego do mnie, podając mu list przez kratę odezwała się Ksieni.

Wszystko to było zagadką. Podczaszyc spojrzał na list i nie mógł się z niego nic nauczyć, nie było się kogo poradzić.

Nie ulegało wątpliwości tylko, że ze śmiercią Wojewody ustawała potrzeba reklużyi; przecież trzeba się było upewnić, iż osoba porwana pretensyi mieć o to nie będzie... pomówić z nią o tem, i skandał mogący wyniknąć zagłuszyć.

— Jeźli to być może — odezwał się Podczaszyc — chciałbym sam na sam widzieć się z tą panią.

— Zechcesz więc pan zejść do foresterjum, dokąd go siostra furtyanka zaprowadzi, a pani ta natychmiast tam znijdzie.

Podczaszyc jakkolwiek zdziwiony i skłopotany śmiał się nieco złośliwie z tego pośmiertnego odkrycia intryżki jakiejś nieposzlakowanego starca, i zaciekawiony bardzo zbiegł do foresterjum. Niedługo tu czekał, drzwi się otwarły impetycznie i w progu ujrzał z niesłychanem zdumieniem... dobrze sobie niestety znajomą niegdyś pierwszą swą ukochaną... Betinę. Oboje osłupieli.

Starościna jednak prędko odzyskała przytomność i nie mogąc przypisać zdrajcy intencyi uwolnienia, wpadła na myśl, że z jego powodu uwięzioną została. Wprawdzie i to jakoś nie było dla niej jasnem, ale potrzebowała wywrzeć gniew na kogoś i rzuciła się do niego ze wściekłością.

— To ty nikczemniku mnie zgubiłeś!

— Betino! dobrodziejko, ze śmiechu się zanosząc i odskakując zawołał Podczaszyc — stój! jam Bogu ducha winien! Ten który tu waćpanią posadził, nie żyje. Ale co u licha miałaś za stosunki z Księciem Wojewodą?

— Ja? alem go jak żyję w oczy nie widziała!

— Nie może być! On tu panią przysłał!

— Nie znałam go...

— Przecież...

Podczaszyc pokazał list Księcia Wojewody. Wszystko to było zadziwiająco nierozwikłanem i ciemnem... Starościna rada, że się nareście uwolnić może, gotowa była żywym i umarłym przebaczyć, byle co najprędzej uciekać.

— Panie — zawołała — nikomu słowa nie powiem... zapomnę o wszystkiem... a wypuść mnie co rychlej, bo umrę... Powóz! powóz... Podczaszycu, idź sobie piechotą, baw się z mniszkami... rób co chcesz... a każ mnie odwieźć do domu. To była jakaś piekielna intryga lub omyłka... Oddaj mi moją wolność! zaklinam.—Podczaszyc skłonił się wskazując drzwi.

— O jedno pani tylko proszę... o milczenie potrzebne nam obojgu. Pani byłaś na wsi.

Ręką tylko odpowiedziała Starościna i wybiegła w dziedziniec, rozkazując woźnicy, wieźć się na ulicę Bielańską.

Wpadła tam przynajmniej równo niespodzianie jak była znikła. Sługi powitały ją raczej z podziwieniem niż z radością, rachować już bowiem zaczynały po troszę, że może nie powróci i małe zadatki na przyszłą sukcesyę wziąć sobie pozwoliły.

LXIX.

Starościna tak była szczęśliwą z odzyskania swobody, tak potrzebowała ze wszystkimi się podzielić radością swoją, iż mimo bardzo wątłej nadziei dobrego przyjęcia u Ksawerowej, wkrótce po powrocie pobiegła do niej. Niedomyślała się wcale, że pokutowała za Helenę.

Wielkie było zdumienie, gdy ją postrzeżono, ale ciekawość ma swe prawa. Kobiéty nadbiegły, żeby się coś o jej losie dowiedzieć. Betina z początku ledwie mówić mogła. Twarz jej świadczyła o przecierpianych dniach niewoli — wychudła, zżółkła, zmieniła się, zestarzała.

— Cóż to było? co znaczyło to porwanie? dokąd was zawieziono? z czyjego rozkazu? — pytała Ksawerowa.

— Ani ja ani nikt tego nie rozumie — odpowiedziała Starościna — to jakaś tajemnica... Uwięzioną byłam w klasztorze z rozkazu Ks. Wojewody, który jak się zdaje, niedawno umrzeć musiał, inaczej byłabym wiek cały w tych murach obrzydłych przebyła i marnie zginęła. Ani się wykupić, ani wyprosić! jeszcze mnie namawiali do obleczenia sukienki!

Kobiéty spojrzały po sobie.

— Strach, płacz, tęsknota, nudy nie do opisania. Karmiły mnie te biedne mniszki pierniczkami, tłuczeńcami, słodyczami aż nudności od nich dostawałam, poddawały mi książki, myślały że mnie do tej rozkoszy namówią... Ale ba!... płakałam i płakałam, aż mnie też pan Bóg uwolnił.

Starościna była w opowiadaniach swych o życiu klasztornem nieprzebraną, opisywała te dnie długie spędzone wśród ciszy, spokój grobowy... milczenie straszliwe... nieubłagane godzin panowanie, nabożeństwa, spiewy, przechadzki po ogrodzie, a przez te wszystkie powieści przebijała się radość niewypowiedziana więźnia, który się na wolność wydobył. Gdyby była śmiała, skakałaby z radości, świat się jej na nowo uśmiechał... stał się droższym.

Na ostatek nagadawszy się długo wyszła spocząć i zająć się na serjo podźwignieniem mocno nadwerężonych wdzięków.

Po wyjściu jej Hela długo stała zamyślona i milcząca.

— O moja matko — rzekła — jakże ja niemam pragnąć śmierci, kiedy to życie moje nie mnie jednej jest wstydem i ciężarem.

Dziś wszystko się dla mnie wyjaśnia, w tym blasku prawdy czytam przeznaczenie moje. Jestem dzieckiem błędu, którego wszyscy się wstydzą. Matka żyje by cierpieć, ojciec zabity został, płacąc błąd swój zgonem... przyszłości nie mam... bądź wola Twa panie!

Ksawerowa ledwie kilka słów wymówiwszy, wedle zwyczaju nie chcąc się jej sprzeciwiać, zamilkła.

I Hela też przerwała mowę, poszła do śpiącej Julki, pocałowała ją w czoło, w ciemnym pokoiku zaczynając tajemnie przygotowywać się do podróży.

Wykonała to tak zręcznie, że biedna wdowa wcale się niczego domyślać nie mogła.

Nazajutrz gdy rano obudziła się po nocy w części bezsennej, Heleny w domu nie było... Przez sen nad ranem zdawało jej się, że czuła, jakby kto na rękach jej i czole składał pocałunek, ale wziąwszy to za marzenie gorączkowe, jeszcze się nie dorozumiewała smutnej prawdy.

Nie znalazłszy jej zrana w mieszkaniu, sądziła, że mogła wyjść do kościoła, lub na miasto. Upłynęło przecież godzin kilka a Hela nie powracała. Ksawerowa krzątając się około Julki, weszła po coś do pokoiku Heleny i na komódce postrzegła dopiero papier, na którym wielkiemi głoskami widocznie z pospiechem nakreślone były te wyrazy:

„Żegnam was, matko moja, siostro moja, żegnam was! łzami oblewając nogi wasze. A! żal mi, że odbiegnę jedyne istoty ukochane, jedyne co mnie biedną kochały, ale potrzeba — muszę! Bądźcie szczęśliwe, ja idę gdzie mnie los woła...

szczegółów, ale dowiedział się tylko, że Helena z myślą wstąpienia do wojska nosiła się od dawna, i zapewne teraz musiała ją do skutku przyprowadzić. Ale gdzie? jak? z czyją poradą i pomocą, niepodobna było dójść na razie.

Tegoż dnia zjawiła się panna Babska od Ks. Wojewodzinej przysłana, która z własnego instynktu zbliżyć pragnęła córkę do matki. Widziała ona, jak Wojewodzina usychała z pragnienia widzenia i przycisnięcia do piersi tego dziecięcia, którego przez lat tyle była pozbawioną — wstrzymywała ją tylko przysięga, od której nie czuła się wolną. Wzięła więc na siebie namówić Helenę, aby z nią wieczorem udała się do Księżnej. Niestety! przyszła za



...dłoń jeszcze konwulsyjnie ściśnięta trzymała skruszonej szabli szczątek. (str. 305.).

Z krzykiem przerażającym wybiegła Ksawerowa odczytawszy karteczkę, naprzód nadół do Starościnej, poruszyła dom cały.

Widziano Helenę wychodzącą bardzo rano z małym w ręku węzełkiem, ale dokąd się udała nikt ani się mógł domyślać.

Rozesłano na wszystkie strony.

Starościna, która wczoraj już się była skomunikowała z Puzonowem, natychmiast posłała mu dać znać o tym wypadku. Jenerał sam przybiegł zaraz przebrany pragnąc

poźno! Wiadomość o ucieczce prawie do rozpaczy ją przywiodła. Wprędce jednak ochłonąwszy z pierwszego wrażenia pospieszyła do swej pani, wnosząc iż ona może przez stosunki swe zapobiedz potrafi wstąpieniu do wojska, wyszukać zbiegłą i powrócić ją rodzinie.

Ksawerowa błagała ją o to ze złożonemi rękami.

Wojewodzina wiadomość tę przyjęła ze wzruszeniem, z niepokojem. Pamięć na męża wszakże, przysięga nakazywały jej być ostrożną, choć miłość dla jedynego dziecka niedozwalała być obojętną. Niewiedziała co począć. Zna-

ąc jeszcze z dawniejszych czasów naczelnika, Księżna Vojewodzina jemu tylko postanowiła zwierzyć się w części, okrywając swe zajęcie losem sieroty pozorami miłosierzia i opieki. Natychmiast napisała doń list, prosząc by do iej przybył.

Skutkiem widzenia się z Księżną i rozmowy dowiedział ę jenerał dopiero o ucieczce Heleny, która go jak innych rzeraziła. Przyznał się nawet przed Wojewodziną, iż ją nał i że go los jej wielce obchodził, bo powziął dla niej zacunek i przyjaźń.

Wojewodzinie łzy mimowolnie zakręciły się w oczach yszącgo z zapałem, z przejęciem, ze smutkiem mówiągo o Helenie.

— Nie dopuścimy — rzekł jenerał — aby życie tylu sobom potrzebne i drogie poświęciła nierozmyślnie choć eroicznie dla ojczyzny, która powinna mieć dosyć obrońów w nas. Postaram się, aby pilne oko zwracano na nowo aciągających się ochotników, co zresztą nie powinno być rudnem, bo ją zdradzi ta nadzwyczajna piękność, która szędzie ciągnęła wzrok najobojętniejszy.

W istocie jenerał przez swych przyjaciół starał się yśledzić zbiegłą, ale mimo zabiegów wszelkich, o losie Ieleny i jej pobycie dowiedzieć się nie było można. Zniknęła bez najmniejszego śladu po sobie...

LXX.

Gdy jednej z tych istot wybranych zabraknie, które u sobie serca wszystkich ciągnąć umieją, ileż to żalów tęsknoty! Są ludzie co giną niepostrzeżeni prawie, tak nało komu w świecie byli potrzebni; są inni, których brak awsze się czuć daje. Po Helenie płakała nieutulona Julka, tórej stan pogorszyła znowu tęsknota; brakło jej co chwila Ksawerowej; dopytywała się o nią z trwogą Wojewodzina, zdychał jenerał za tem zjawiskiem, które przesunęło się rzez jego życie i znikło smętne na zawsze... żal zostaiając po sobie.

Ale ze wszystkich co opłakiwali Helenę, którzy ślady j odkryć się starali, najniecierpliwiej rozdrażnionym, gniewnym był Puzonów. Namiętność, obrażona miłość własna, pokorzona duma, jątrzyły i wzmagały boleść, jakiej pierszy raz w życiu doznawał. Poświęcił dla tej kobiéty rzyszłość swą, dał jej swe imię, zdawało mu się, że tem ociągnąć ją potrafi, a doznał tylko wzgardy i obojętności. Iyślał, że czas mu ją powróci, że okoliczności zmuszą... eraz z wściekłością niemal czuł, że ją tracił na zawsze.

Jakkolwiek stolica była jeszcze w mocy rządu polkiego i wojska, Puzonów ukrywający się tu nie bez celu, skutek z góry otrzymanych rozkazów, miał już znowu ozgałęzione stosunki, policję swoją, wiedział o wszystkiem — ze wstydem przychodzi to wyznać — z każdego tajego posiedzenia miał raporta... pełnił obowiązki tajemnego ajenta Moskwy przy królu; był siewaczem tych intryg, które stargały wprzódy siły narodu, niżeli na placu boju został pokonany.

Ludzie co w rządzie czynny udział brali, czuli że Moskwa nie przestała tu mieć stosunków i wpływów, że ktoś przewodził tajemnej szajce zdrajców, często u najzagorzalszych patryotów poprzebieranych, ale odkryć tej sieci czarnej nikt nie umiał.

Puzonów każdego dnia gdzieindziej nocował, krył się coraz inaczej przebrany, przybierał różnych narodowości nazwiska i pozory, wdziewał kapotę kupca, habit mnicha, miał dziesięć mieszkań i seciny posługaczów płatnych.

Wszystkich tych sił i środków użył on w pierwszej chwili, dla odzyskania tej, którą za żonę swoją uważał; zabiegi jego równie były próżne jak innych starania. Najmniejszy ślad byłby mógł naprowadzić na drogę, ale od wyjścia Heleny z domu, nie podobna było dojść, co się z nią stało.

Ktoś przecie do tego śmiałego czynu dopomagać jej musiał?

. . . .

LXXI.

Tymczasem los nieszczęśliwej Polski zbliżał się do krwawego rozwiązania. Zewsząd wciskały się i zalewały ją wojska obce, obsaczając powoli żelaznem kołem stolicę. Wewnątrz siano niezgodę, przygotowywano zdrady, osłabiano się walką. Wódz naczelny smutną widząc przyszłość ważył się przecinając intrygi stolicy i daremne wyczekiwania, na walkę stanowczą. Ona tylko sprawę uratować, a zwycięstwo skupić i zjednoczyć mogło, co niepewność rozbracała.

Wieczorem przed pamiętną ową bitwą maciejowicką, w powietrzu już czuć było grobowy oddech zbliżającego się jutra. Tęsknota i niepokój były na twarzach wszystkich, krzyżowały się wejrzenia posępne, ustom ściśniętym brak było wyrazów.

Około dworu w maciejowicach rozłożone wojska biwakowały cicho, czekając niecierpliwie tego dnia, który miał wszystko rozstrzygnąć. Nikt usnąć nie mógł prócz tych, którzy padali bezwładni ze znużenia.

Jenerał dla rozmowy z Sierakowskim i Kniażewiczem odszedł był ku obozowisku, ażeby go nie podsłuchywano, gdy mijając szałasy sklecone na prędce i dogasające ognie, mignęła mu w przechodzie twarz, która oczy jego jakimś urokiem wspomnień wstrzymała.

Rysy to były jakby mu dawniej gdzieś znajome... Młody żołnierz opalony, czarny ale wydający się ledwie dorosłym, uderzyl go dziwną pięknością swą i wyrazem głębokiego smutku. Siedział oparty na siodle przed tlejącemi węglami, z głową w dłoniach, zadumany, a postrzegłszy wodza szybko zakrył rękami oczy.

Twarz ta sympatyczna, miła, jak widmo przeszłości uderzyła pana Tadeusza, nie mógł sobie wszakże przypomnieć jeszcze, gdzie ją już widział kiedyś, choć czuł, że nie pierwszy raz z tem obliczem się spotykał.

W tej chwili zmuszony z odpowiedzią zwrócić się ku Kniażewiczowi, gdy się wkrótce potem zaniepokojony obejrzał w to samo miejsce, młody ów żołnierz już był znikł z przed ogniska.

Nadto było w tych godzinach stanowczych wiele do czynienia, aby wódz miał czas przypominać sobie jednego żołnierza gdzieś widzianego na świecie... powiódł tylko oczyma i oderwano go zaraz w inną odciągając stronę.

Rankiem rozpoczął się bój ten krwawy, który tylu walecznych życiem lub niewolą długą przepłacić miało. Wysiłek ten był prawdziwie bohaterski, który się rozbił tylko o nieprzewidziane ruchy nieprzyjaciela, o przemagającą jego potęgę, o fatalizm jakiś dziejowy, odpychający wszystko, co dać mogło zwycięstwo, skupiający, co zgubić musiało. Nikt począwszy od naczelnika, nie oszczędzał siebie, ale gdy z jednej strony walczyła nieodstraszona odwaga, z drugiej parła zimna, obrachowana siła zwierzęca masą posłusznych, ślepych, bezdusznych.

W chwili gdy zrozpaczony wódz, widząc straconą bitwę a przeżyć jej nie chcąc, szukał śmierci i rzucił się z dobytą szablą w szeregi walczących, z wodza stając prostym żołnierzem, gdy tłum niszczącego kozactwa oskoczył go dokoła, ujrzał przed sobą tę samą twarz znajomą i poznał dopiero w nastawiającym mężnie pierś swą za niego żołnierzu... Helenę.

Ale mignęło mu tylko to oblicze pełne zapału, gdyż cięty w głowę padł zaraz oblany krwią i oczy jego zamknęły się, by się otworzyć — w niewoli.

Gdy się obalał z koniem, otoczony kozakami pospieszającymi dla łupu, kula jednego z nich trafiła właśnie obrońcę, Helena padła także, a konie i tłum żołnierstwa runęły na bezdusznego już trupa.

Wieczorem na pobojowisku, zatrzymał się obchodzący pole zawalone poległymi, jeden z jenerałów moskiewskich... na pół odarte z sukien ciało kobiéty już zsiniałe i zastygłe, zwróciło jego oczy: stanął wryty, pochylił się, ukląkł, załamał ręce.

Trup to był zgnieciony przez konie, który dla świętokradzkiego odarcia wywlokła ręka żołdaków z pod kupy kozackich i polskich zwłok ludzi i koni... znać na nim było kulę, która z lewej strony pierś przeszyła, i krwawy pas na czole, jakby wieńcem męczeństwa obwijający skronie. Mniejszych ran mnóstwo po rękach i szyi, zrąbały nieszczęśliwą, okrytą krwi czarnej, zastygłej strugami.

Długi włos czarny z pod spadłej czapki spływał na ziemię puklami, i tarzał się w posoce zgęstniałej, oczy miała otwarte, usta jakby w okrzyku zemsty stężałe, dłoń jeszcze konwulsyjnie ściśnięta trzymała skruszonej szabli szczątek.

Puzonów — on to był bowiem — pokląkłszy przy zwłokach kobiéty, z bijącem sercem, szukał w nich resztek życia... Rozkazał żołnierzom podnieść ciało i złożyć je w swoim namiocie.

Czy ją przywołał do życia, czy zwłoki te legły razem z kośćmi innych bohaterów w kurhanach na maciejowickiem pobojowisku?! nie wiemy.

Lucerna. Październik 1867.

ZWALISKA ODRZYKOŃSKIEGO ZAMKU.

(USTĘP Z PODRÓŻY)

PRZEZ

J. GORDONA.

Na cyplu baszty zwalisk odrzykońskiego zamku, należących do najpiękniejszych tego rodzaju zabytków w Galicyi, stał mój kolega Henryk samotny, jak duch tradycyjnej baśni, jak posąg człowieka na posągu świata, z założonemi rękoma, żegnając ziemię sanocką.

Zdala rozpościerały się przed nim na widnokręgu dwory i wioski, w których cząstkę swego żywota zostawił; mnóstwo różnorodnych wspomnień cisnęło się do duszy!

Po nad nim niebiosa roztaczały szatę błękitną, a obok fantastyczne, szczerbate skały patrzyły na się w milczeniu niby sfinksy przeszłości.

O! ileż to o owe drzemiące głazy otarło się modlitw ludzkich. Ileż tam razy odbiło się echem westchnienie wędrowca, westchnienie boleści, żalu i tęsknoty!

W zwaliskach panowała cisza.

Od chwili tylko do chwili szmer jodeł nucił smętną piosenkę, jak arfa eolska, nucił i ucichał zwolna. To znowu wierzchołki wysmukłych drzew pochylały się ku sobie, coś szemrząc tajemniczego, jakby spisek knowały.

Chmurki, podobne do kędziorów wełnistych, słaniały się po urwiskach skał. Tak były białe i elastyczne, że brała ochota sięgnąć po nie ręką!

Dalej, czarnego ptactwa stado zataczało pierścienie żałobne.

Rozmarzony Henryk zstępował tymczasem z wyżyny, wpatrując się uroczyście w omszałe mury, starając się coś wydobyć z tej kamiennej historyi, spoczywającej pod kotarą z odwiecznych mchów i bluszczów uwitą.

Aliści spostrzegamy przy sobie dwie czarowne postacie: poważnego staruszka i młodą dziewicę, co nagle wyrosły z ziemi, podobne do dwóch zaklętych duchów starożytnych ruin.

Zaklęty staruszek, pochylony i siwy, wspierał się na kiju.

Zaczarowana księżniczka o jasnem, fosforycznem oku i długich, ciemnych rzęsach, uśmiechała się do starca — a uśmiech ten skradła od niebianek.

Grupa obojga przedstawiała uroczą wiosnę, pełną życia i blasku, wraz z jesienią pogodną, choć szronem pokrytą.

Na czole dziewicy był myśli wyraz, i dowcip igrał na ustach.

Podróżni zwykle łatwo zawiązują znajomości, gdy się zejdą z sobą, zwłaszcza na opuszczonem a pełnem drogich pamiątek miejscu. Wtedy owe pamiątki, cały krajobraz, natura, sztuka, zdają się składać z nimi harmonijną całość.

Henryk postąpił ku nieznajomym. Idąc za jego przykładem, zbliżyłem się też do nich, trzymając naszkicowany rysunek krajobrazu, i poczęła się wspólna gawęda, zrazu, jak to najczęściej bywa: o wszystkiem i o niczem, zanim stała się interesującą.

Zasiadłszy społem na kamiennej, żłobionej płycie, sędziwy starzec, co wieku zapamiętał początek, co obszedł w życiu i morza i kraje, zaczął opowiadać dzieje zamczyska.

Wszyscy zamieniliśmy się w słuch, i oto cośmy się dowiedzieli:

Niegdyś w lasach odrzykońskich miała być ukrytą jaskinia rozbójników, z której robili wyprawę na okolicę, paląc i rabując sioła; a po drodze odzierając kupców jadących na jarmark do pobliskiego Krosna.

Łupy znosili na kraniec lasu, gdzie oczekiwał koń, który niemi obładowany uchodził w głąb puszczy do ukrytej pieczary, będąc do tego przyuczonym.

Tam dopiero zdejmowano z niego towary.

Wieśniacy okoliczni, gdy im się rozbójnicy dali we znaki, zebrali się w liczną gromadę, a zrobiwszy obławę wyłapali zbójców i wywieszali ich na najwyższych jodłach; konia zaś, ich uczonego wspólnika, odarli ze skóry i puścili na postrach złym ludziom.

Potem las na górze wykarczowano, stanął na tem miejscu ogromny zamek, a koń, jak gdyby pokutnik, nie mógł zdechnąć, i wałęsał się odarty koło zamku.

Odtąd sioło nazwane zostało O d r z y k o n i e m.

Co do samego zamku, krąży podanie, że wzniósł go magnat Bonar, który miał dwóch synów; więc jako poczciwy ojciec, wybudował on dla nich ten zamek p o d w ó j n y, czyli raczej dwa zamki o jednym dziedzińcu i jednej studni wspólnej, aby dwaj bracia napój w niej czerpali w jedności i zgodzie.

To się atoli nie udało.

Panow)e bracia — jak się zdarza między ludźmi dążącymi do upadku — powaśnili się z sobą o ową wspólną studnię, jeden drugiemu wnijście na dziedziniec zamurował.

Ten ostatni rozwścieklony kazał swemu wojsku mury zburzyć, a obydwa zwarłszy się z sobą przy studni, polegli z bratobójczej dłoni. Ciała ich wrzucono do tejże samej studni, która zaraz się zasypała; zamek częścią się rozwalił, częścią zgorzał, i widziano krwawą parę rodzodzonych braci ulatującą w płomieniach, od których zarumieniło się zachodzące słońce.

Odtąd w każdą rocznicę dnia tego krwawo słońce zachodzi, odziewając zwaliska czerwoną łuną, lud klęka i modli się za duszę Bonarów, bo w podziemiach słychać szczęk oręża i okropne jęki.

Cóżto za piękna tradycja?

Lecz następuje po niej jeszcze piękniejsza, jakkolwiek nie odpowiadająca poprzedniej pod względem daty chronologicznej wypadków; gdyż wedle tej legendy Bonarowie byli ostatnimi dziedzicami zamku, poprzedzali ich zaś Firleje.

Dziewiędziesięcioletni nasz staruszek, który w dzieciństwie swojem widział odrzykoński zamek w nierównie lepszym stanie, niżeli jest dzisiaj, ukazując na szczątki dawnej, rozsypującej się wieżyczki, na wierzchu której sterczą resztki okna na kilku cegiełkach, opowiadał o tem oknie smutną bardzo powieść:

Wojewoda Firlej, pan możny i dumny, miał śliczną, ukochaną córkę jedynaczkę. Lubiła ona przesiadywać w wieżyczce, bo ztamtąd poglądała na cudowny krajobraz, roztaczający się na kilkanaście mil w około, a w zamczysku było smętno, ponuro.

Był to czas wojenny.

Głuchą ciszę murów przerywał tylko niekiedy brzęk kajdan jeńców, zamkniętych w lochach podzamkowych.

Pewnego razu przyprowadzono młodego rycerza i wtrącono go do podziemia, pod wieżę wojewodzianki.

Jeniec tak pięknie i rzewnie spiewał w więzieniu, że wojewodzianka zakochała się w spiewie, nie widząc spiewaka.

Gdy ojciec pozwolił jej w dzień imienin zanieść do siebie jakieś żądanie, prosiła, aby jeńcowi wolno było choć przez godzinę oddéchać świeżem powietrzem.

Prośba jej wysłuchaną została.

Wyprowadzano odtąd więźnia na jedną godzinę, a on siedział pod wieżą opiekunki i coraz piękniej, coraz tkliwiej i tęskniej nucił swe piosenki, tak, że ptaszki zatrzymywały się w locie, aby im się przysłuchać.

Wojewodzianka uczuła, iż bez niego żyć nie potrafi, i nie taiła się z tem.

Oburzony ojciec niestosowną miłością córki, kazał natychmiast więźnia stracić.

Za pół godziny wywiedziono go z kaźni na dziedziniec. On na pożegnanie spiewał smutną dumkę, gdy wojewodzianka w oknie wieży stała, ręką mu niebo okazując; skoro zaś w dziedzińcu rozległo się echo od cięcia topora, nieszczęsna wyskoczyła oknem; a tak dwa duchy złączone uleciały w obłoki.

Dziewczęta spacerujące wśród ruin w dzień świąteczny, widują dotąd śliczną twarz wojewodzianki, wyglądającej z okna wieżycy, i słyszą smętną dumkę jej kochanka.

Staruszek przestał opowiadać, zadumał się, jakby zbierając myślą historyczne przygody.

W źrenicach pięknej nieznajomej, wspartej uroczo na jego ramieniu, błyszczały krople rosy, lecz nie deszczowej to rosy.



Zwaliska zamku odrzykońskiego.

Najwięcej krąży podań o Oświecimach.

Główną treścią tych ostatnich jest: gwałtowna miłość między bratem a siostrą.

W Krośnie pokazują dotąd groby Oświecimów w kościele OO. Franciszkanów. Jest tam nad lochem kaplica, a w niej są portrety familijne. Wnosząc z nich, Anna była przyrodną siostrą Stanisława; gdyż wizerunki przedstawiają dwie matki, a jednego ojca.

Powiadają, że Stanisław wysłany w dzieciństwie do szkół zagranicznych, zostawił Annę w kolebce. Gdy powrócił za lat kilkanaście po śmierci ojca, ujrzał ją najprzód w gronie rówienniczek, nie wiedząc, że jest jego siostrą. Zrobiła na nim niewymowne wrażenie. Dowiedziawszy się o pokrewieństwie, bardzo podobno rozpaczał, pomimo to nie chciał odstąpić od pierwszej myśli, ożenienia się z nią.

Podali o pozwolenie do Rzymu. Że zaś to nie nadchodziło, a czuła para nie mająca już rodziców, sama zamieszkiwała w zamku, szarpano sławę Anny do tego stopnia, że zdrowie jej z przyczyny cierpień nadwątlone zostało.

Stanisław udał się osobiście do Rzymu, czynił tam najusilniejsze starania, ale szło mu trudno, więc nic pomyślnego nie mógł donieść narzeczonej, nareście listy do niego przychodzić przestały.

Ze zgryzoty życie Anny z każdem ulatało tchnieniem.

Pewnego razu, gdy siedziała przy krosienkach i jak wierna Penelope zajmowała się haftem, wyszywając pas dla swego kochanka, wpada goniec i przynosi jej list z poczty. Ona łamie pieczęć, czyta i pada zemdlona.

List zwiastował tyle upragnione pozwolenie na jej związek ze Stanisławem. Zbytnia radość ze szczęścia, którego się nie spodziewała, wstrząsnęła jej systemem nerwowym, a samą złożyła na łożu boleści.

Wkrótce Stanisław powrócił z włoskiej stolicy. Już noc była, gdy zatrąbił u bramy zamkowej. Giermek ze łzą przywitawszy pana, zapalił pochodnię i przewodniczył mu po schodach, otoczonemu orszakiem dworzan.

„Siostra moja“ rzecze „nie śpi jeszcze zapewne... prowadźcie mnie do niej!... chcę jej sprawić uciechę niespodzianą.“

Domownicy nic nie odpowiedzieli, milcząc szli za panem, i tylko z piersi podeszłego wiekiem marszałka wydobyło się głuche westchnienie.

W sali rycerskiej płoną światła i rzucają łunę przez różnokolorowe gotyckie okna, umieszczone nad drzwiami.

Do sali tej wiodą Stanisława.

Drżącą ręką otwiera marszałek podwoje; Stanisław wstępuje i staje jak piorunem rażony na widok mar jarzącemi okolonych świecami, i komnaty w czarne kiry przybranej.

Na marach widzi swoją ubóstwioną Annę z rozmarynową gałązką w uplotach kruczych włosów, a przy niej dwie zapłakane dziewice, w żałobę odziane.

Drugie podanie opiewa, że bez pozwolenia papieża (Innocentego X.) Stanisław poślubił Annę.

Prawdziwość tego podania popartą jest aktami kościelnemi.

W Krośnie można widzieć siedem trumienek dziwnie małych, obejmujących jakoby dzieci Stanisława i Anny. Lecz jest to nieprawdopodobnem. Wierzyć raczej można, iż wspomnione dzieci należały do rodziny Oświecimów w ogóle; gdyż to pewna, że Anna bardzo młodo umarła.

Lecz niestety, dziś patrząc na owe groby Oświecimów mimowolnie przejętym się jest uczuciem żalu na widok panującego w nich zaniedbania, które, jakby echo bieżącego stulecia, na każdym niemal u nas pomniku starożytności piętno swe wyciska.

Coraz bardziej zacierają się zabytki naszej przeszłości, te zaś, co nie zostały zniszczone twardym zębem czasu (dziesięciu wieków, odkąd naród polski wystąpił na widownię dziejów), których wróg obalić nie zdołał, upadły podkopane przez naszą własną obojętność. To smutno!

Nie ulega wątpliwości, że naród zajęty jest obecnie wielką myślą budowy przyszłości na zgliszczach i rumowiskach; pomimo to, czyż w sercach przepełnionych miłością i poświęceniem dla kraju, głos przeszłości, szmer wydobywający się z mogił praojców naszych, nie powinien znaleść posłuchania?

Wszak z poniewierką popiołów ojcowskich szła i poniewierka synów!

Wątpliwy plon zaiste ze skiby zaoranego grobowca rodzicielskiego!

Zastanówcie się nad tem, mili Krośnianie!

Są jeszcze inne podania, na których tle usnutą została tragedya p. t. „Anna Oświecimówna,“ lecz ponieważ uwydatnione w niej fakta posłużyły raczej autorowi do zawiązania intrygi w dramatycznem dziele, niżeli do rozświecenia przeszłości, pomijamy je zatem na tem miejscu. To pewna, że zamek nie był — jak autor dowodzi — napadnięty i zburzony przez Tatarów, gdyż dużo poźniej był jeszcze zamieszkałym; atoli uległ może jakiemu innemu, niszczącemu napadowi.

Rozstając się ze zwaliskami w Odrzykoniu nie podobna nie wspomnieć o „prządkach,“ tyle one mieszczą w sobie poezyi!

Niechaj czytelnik wyobrazi sobie naprzeciw zamkowej góry, drugą, równie wysoką, oddzieloną od tamtej lesistym parowem, a na niej ogromne, jakby piątrowe domy, kamienie białe, śliczne, w najrozmaitszych kształtach, już to równo wystrzeliwające w górę, już poprzyczepiane do małych płyt, grożących skruszeniem się, a będzie miał „prządki,“ o których tak starzy ludzie powiadają:

Niegdyś zuchwałe prządki ośmieliły się pójść z kądzielą do lasu w dzień świąteczny, i w czasie mszy św. skamieniały. Kamienie ich trupów rosną ciągle — i widać je już o mil dziesięć na postrach bezbożnym.

O innych zaś mniejszych kamieniach rozrzuconych po lesie — opowiadają dzieci odrzykońskie — że są to skamieniałości owych dziatek, które podczas nabożeństwa poziomki zbierały.

Kamieni takich nagromadziłaby się już była ogromna masa, gdyby Odrzykoń nie obfitował w kamieniarzy, którzy starają się użytkować z tych dzieł przyrody.

Przed wiekami stała na tem miejscu wieś bogata, szczęśliwa, mlekiem i miodem płynąca. Ale mieszkańcy jej odpłacili się Bogu najczarniejszą niewdzięcznością. Cała osada była zgorszeniem dla sąsiadów, miejscem zbrodni, bezbożności i rozpusty. Pan Bóg nie mogąc doczekać się poprawy, zesłał straszną karę dla przykładu całego kraju, ziemia się rozstąpiła i pochłonęła tę Sodomę, a na miejscu sioła został tylko grunt skalisty, który poźniej zarósł lasem i manowcami.

Gdy raz przelatywali tamtędy aniołowie, zapłakali nad potępionem siołem, a łzy ich ciekąc kamieniały.

W święta lud odrzykoński krąży między ruinami zamczyska, jako i między prządkami, sadowiąc się tam i ówdzie w malowniczych grupach.

Lud kocha te rumowiske, te kamienie. Legiendy rozmarzają go, kształcą nawet. Owe legiendy są to wielkie prawdy ludowe; wyciąga on z nich zawsze moralną nauką.

I tak, wśród roztaczającego się obrazu rozbicia narodu polskiego i jego pasowania się, obrazu strasznego, ciemnego i przerażającego, z pod jego ciemnego tła wytryskują gdzieniegdzie ogniste strzały blasku zakrytego słońca.

Tem słońcem — to niespożyty duch ludu polskiego, i wyszłego z ludu mieszczańśtwa!

RÓŻNOŚCI

OFIAROWANE DOŚWIADCZONEMU PRZYJACIELOWI

JÓZEFOWI IGNACEMU K............

PRZEZ

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Sen i Drzemka.



Skrzy łuczywo,
Nocka długa,
Przędzie żywo
Jedna druga.
Kółko lata
Jak szalone,

W tę zamiata
To w tę stronę.
Gasną szczypki,
Nocka szczera,
A zza szybki
Sen zaziera.
A drzymota
Z poza płota.

Drzemku! drzemku!
Sen zagada:
Pójdź po ciemku
Do sąsiada.
Za tą ścianą
Przez noc całą,
Przędą lnianą,
Nitkę białą.

Przez noc ciemną,
Choć sen słodki,
Nie zadrzemną
Te chichotki.

Nie patrz bracie
Na tę ścianę,
Bo w tej chacie
Zakochane.
Z brzaskiem wschodnim
Ktoś tu będzie,
Konik pod nim
W złotym rzędzie.
Śmiałość w oku,
Czarna brewka,
A przy boku
Chorągiewka.
Choć kur wrzaśnie,
Zgasną zorze,
Ta niezaśnie,
Bo nie może.

A tę wtórą
Zazdrość ima,
Że tę biorą,
A ta niema.
Ta uparta
Spiewać rada;
A ta czwarta
Noc przegada.

Drzemku! drzemku!
Sen zagada:
Pójdź po ciemku
Do sąsiada.
Tam gościna,
Tam chateńka,
Gdzie dziecina,
Gdzie maleńka.
Przez noc ciemną,
Choć sen słodki,
Nie zadrzemną
Te chichotki.

III.

O Baśce, co jej krowę zajęli.



Miała Basia płową krowę,
Pognała ją na dąbrowę.
Jak pognała, tak pognała,
Złoty wianek przewijała;
Przewijała w cichy ranek,
Komu wianek? sobie wianek.

A czy ją też dziewczę młode!
Kiedy krowa poszła w szkodę.
Podeptała dwa zagony,
Od tej strony do tej strony.
Albo za nią albo w nogi,
Jeno co jej widać rogi.
Krowa płowa, płowe zboże,
Toć się w zbożu skryje może.

— Bodajże cię, cóż ja zrobię?
Ot i ludzie — maszci tobie...
Bodajże cię wianku złoty,
Narobiłżeś Baśce psoty.
Oj! wyleciał dziad za krową,
Pogonił mi krówkę płową.
Aleć moja płowa skora,
Będziesz latał do wieczora.

Nim ją chwycisz za dwa rogi,
Połamiesz se dziadu nogi.
Oj! wybiegła matka z chaty,
Co skakała przed stu laty.
Nie chodź matko, miła Ewo,
Stare nogi stare drzewo;
Zostań babuś w chaty progu,
Oddaj żytko panu Bogu.

— Oj! wyleciał chłopiec sokół,
Pogonił się za nią w okół;
Już tu ona, już tu ony,
Wiedzie krówkę przez zagony;
A ja cicho ani słówka.
Czyja krówka? Baśki krówka.
Zapłaćże mi za tę szkodę,
Albo płową sobie wiodę.

Krowa patrzy mokronosa,
Nadeptała tęgo kłosa,
Nadeptała niegodziwa,
Cóż ja pocznę nieszczęśliwa!
— Mój Wawrzynie dam ci płatek,
Albo płatek, albo kwiatek.
— A ja niechcę to ni owo,
Jeno daj mi jedno słowo:
Będziesz moją? — A matula?
— Jak nie zechce, to do króla.
Zawołamy: Królu Mości,
Kochamy się od dawności.
— A jak król ci nie uwierzy,
Jeszcze złapie do żołnierzy...
— To pójdziemy do plebana,
Niechże będzie dana, dana,
Moje słowo, twoja krowa,
Baśka biała, krówka płowa.

IV.

Krakowiak.



adą chłopcy jadą
Jadą borem lasem,
Krzykają gromadą
Nad granicznym pasem.

Krakowiacy śmiali,
Hura na Moskali,
Bijma wrogi nasze,
Jak we stępach kaszę.

Kto policzyć może,
Wszystko ziarno w worze?
Chociaż tego wiele,
A przecież się zmiele.

Żeby Polska cała
Jedne dziatki miała,
Nie byłoby w onej
Moskwy nieproszonej.

Krakowie, Krakowie!
Daj ci Boże zdrowie,

Za ten naród smagły,
Za krakowskie jagły —

Za promnickie bochny,
Za krakowskie wiochny.
I za to żelazo,
Co je w górach warzą.

Jadą chłopcy jadą,
Jakby w dzień targowy;
Koniki się kładą,
Skacze wózek nowy.

Choćby stracić konie,
Wozik szybowany,
Lećmy ku obronie
Ojczyzny kochanej.

Jadą chłopcy śmiało
Na tę Moskwę całą,
Jedzie naród szczery,
Choć na takich cztery.

Góra polska góra,
A na górze chmury;
Rozleci się chmura,
A zostaną góry.

Żeby Polska cała
Jedne dziatki miała,
Nie byłoby w onej
Moskwy nieproszonej.

V.

Stary Józef skrzypkę stroi.



Pocieszcie się ludzie moi,
Stary Józef skrzypkę stroi.
Już ją chwycił, już ją trzyma,
Stają chłopcy przed oczyma;
Przytupują, kręcą głowy,
Dalej, dalej, ten i owy.
Starzy siedząc przy kwaterce,
Posilają sobie serce.
Młodym żałość nie przystoi:
Stary Józef skrzypkę stroi.

Spieszą wozy do gospody,
Zaspiewajmyż pannie młodej:
Panno młoda bądźże rada,
Nie wydali cię za dziada.
Jestci chłopiec jak należy,
I z wejrzenia i z odzieży;
I z odzieży i z wejrzenia,
Moskwę bije do imienia.
Do taneczka, do roboty,
Jest ci chłopiec szczerozłoty.
Nierady się miesza w zwadę,
Aleć sobie daje radę.
Tego rączką, tego kołem,
Za to chodzi z śmiałem czołem.
A kiedy się w karczmie bawią,
Toć mu nogi nie podstawią.
I lubią go z tego znowu,
Że jest Wawrzek swego chowu.

Mężów matka zła gadzina,
Jeno nie ta, nie Wawrzyna;

Ta ci wody nie zakłóci,
Ta ci życia nie zasmuci.
Z książką chadza do kościoła,
Co to wiedzą ludzie z sioła.
I ostatek swego grosza
Dla sąsiada wypatrosza,
Chociaż będzie i przechera;
A kto daje nie odbiera.
I dziadowi, sieroteńce,
Także kapnie coś na ręce;
Boć to matka gospodyni,
Co każdemu dobrze czyni.

Stary ojciec nieboszczyczek,
Był staruszek czystych liczek.
Włosy nosił — nie postrzygał,
Odkąd polską kosę dźwigał.
Kosa biała pordzewiała,
Głowa czarna pobielała,
Za tą jedną — za przyczyną:
Że Kościuszki czekał ino,

A Kościuszce nikt nie sprostał,
Jak był jeden tak pozostał.

Latoś była wojna sroga,
Ale była krzywa droga;
Jak zaś będzie prosta droga,
Nie powinie nam się noga.

Wiarz, wiary, wiary, wiary,
Tak powiadał Wawrzyn stary,
Do ostatniej gadał chwili,
Aż go w trumnę położyli.

Nie poznaszci co to smutki,
Bo są grosza trzy przegródki,
Na trzy spusty zamykane,
Same białe sztrychowane.
Jest ci w domu ślicznych rzeczy:
Od stajenki owca beczy,
Krówka ryczy niespokojna,
Owca kotna, krówka dojna;
A koniczek wytknął głowę,
By zobaczyć panią nowę.
Lecz się do niej nie pospieszy,
Bo go świeże sianko cieszy.

Z chaty bocian: kleku, kleku,
Ucieszy się swemu człeku,
A nie mogąc ludzkim głosem,
Zaklekocze ptasim nosem.
Prosim, prosim, wszyscy swoi!
Stary Józef skrzypkę stroi,
Już nastroił kwintę, kwartę,
Toć to człeku czegoś warte.

Chłopcy idą od Siennicy,
Zasłyszeli brzęk skrzypicy.
Zaśpiewali kupką dużą,
A lasy im jeszcze wtórzą —
Sosna sośnie, dąb dębowi,
Po gałęziach słówko powie.
I drozd drozdu, i gil gilu,
Jak na skrzypkach dylu, dylu,
A człek ucho w lasy puści,
Bo juściż to piękne juści.
Idą, idą nogą bosą,
Z pola idą, kosy niosą.
Słońce zchodzi, blask na drzewie,
Gdzie wzrok podzieć człowiek nie wie.
Tu się w polach mgła rozsiada,
Tu na zboże rosa pada;
A tu nasi ludzie szczerzy,
A tu źrebak w łąkach leży.
Lud wesoły — kosy w dłoni,
Choć nic z serca nie uroni,
Lecz się śmiechem broni biedzie,
Bo żałością nie pojedzie.
Wiedzą oni co i komu,
I kto siedzi w czyim domu,
I gdzie pędzać onych ktosi.
Toż parobków dziatwa prosi:
Do gospody boświa swoi,
Stary Józef skrzypkę stroi.

Idą, idą, pani z panem,
Idą, idą, polem, łanem.
Hej panowie niebożęta!
Toć i nam też Polska święta;
I nam ubył ten i owy,
Nie policzyć ludzkie głowy.
Przecież Polska nie przepadnie,
Jak ten kamień w morzu na dnie.
Nie będzie tam stu talerzy,
Lecz nie posną bez wieczerzy.
Nie będzie tam jeleń, sarna,
Ale będzie juszka czarna;
Czysta woda śród ogrodu,
Kapka piwa, kapka miodu;
A kapusta i jarmuże,
Przeglądają na podwórze.
Nie smućcież się polaczyska,
Ręka boska zawdy blizka.
Wy ubodzy, my ubodzy,
Kochajmy się państwo drodzy.
Wszakciśwa to wszyscy swoi: —
Stary Józef skrzypkę stroi.

(Dokończenie nastąpi.)

NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

V.

WSPOMNIENIA NORMANDYI. — RUEŃSKIE KONARDY.

Owa z błazny szkoda panom żartować, bo prawdę radzi żartem rzeką.
Bielski. Kronika.

Sam ze wszystkiego stworzenia
Człowiek ma śmiech z przyrodzenia.
Jan Kochanowski.

Ludzie średnich wieków dziwne miewali rozrywki; z trudnością dzisiaj pojąć możemy owe uciechy hałaśliwe, puste, szalone nawet; budzą one podziwienie w jednych, politowanie w drugich; bo mało kto zbadał i zna czasy, w których powstały; potrzeby, które je zbudziły; złe, któremu przeszkadzały; dobre, które sprowadziły może. I tak, widzimy w średnich wiekach huczące po ulicach Paryża kupy *Badenów, Turlupenów i Beztroskowców;* w *Poitiers* wesołą bandę opata *Maugouverne;* w *Dijon* Matkę pustoty *la mére folle*, z całą jej liczną i wrzawliwą rodziną; w *Rouen* nakoniec w ostatnich dniach zapust, zamaskowanych *Konardów*, hercujących po mieście, a na ich czele opata z pastorałem i infułą, siedzącego na wozie i sypiącego na przechodzących dwójznaczniki, ucinki i tak zwane *paskile*, szczypiące żarciki, któreby nasz Rej po swojemu figlikami przezwał. Uśmiéchasz się z politowaniem patrząc na te uliczne szały, na te społeczne wybryki — i zaiste wolno ci uśmiechać się dzisiaj, w pośród tych wszystkich zbawiennych czy zgubnych swobód, które czas dla ciebie nieskąpą nagromadził dłonią; w pośród tysiąca ksiąg i licznych a nigdy nie zamkniętych teatrów, w których nieustanna komedya szydzi bez wytchnienia ze wszystkich ludzi, ze wszystkich rzeczy i z siebie samej, kiedy nie ma co lepszego robić; a szczególniej też z twojem codziennem dziennikarstwem, Argusem o stu zawsze otwartych oczach i o stu językach, nieubłaganym Argusem, niefolgującym nikomu, szpiegującym, podsłuchującym, szarpiącym wszystko co podnosi głowę, wiodącym zaciętą walkę ze wszystkiemi nadużyciami, nie wyłączając nikogo.

Ale byłoż tak za dni ojców twoich? Książek mieli mało; teatrów nie mieli wcale, a przynajmniej stałych; co się zaś tyczy dzienników, te jeszcze nikomu na myśl nie wpadły.

Były wszakże za ich czasów liczne nadużycia i głupstwa bez liczby, a owi uprzywilowani i wolni od wszelkiéj kontroli możnowładzcy nie oszczędzali małych, pozbawionych wszelkiej obrony.

Gdybym inaczej utrzymywał, ktożby mi dał wiarę? Któż tedy wyświecał i karcił te nadużycia? Kto na uciski powstawał? Kto chłostał i na bruk wywlekał wszystkie pańskie przywidzenia i głupoty? Kto? jeżeli nie owi *Badeny, Turlupeny i Beztroskowcy* Paryża, ów Poatjerski *Maugouverne,* owa Dyżońska *Matka pustoty,* a w *Rouen,* lepiéj może niż gdziekolwiek indziej, owe karnawałowe *Konardy?*

W XV. tedy wieku, w XVI. a nawet w początkach XVII., odgrywała się corocznie w *Rouen*, w ostatnich dniach zapust, dziwna scena, nie mająca równej sobie na całym świecie. Jednego poranku, na wielką salę parlamentu, zajętego rozpoznaniem ważnej jakiej sprawy, wnoszono niespodzianie osobliwszego rodzaju petycyę ułożoną pospolicie wierszem, który bynajmniej autorowi głowy nie nałamał. A poważni urzędnicy odkładali na stronę ważną swoją sprawą, żeby przygotować, częstokroć wierszem, a zawsze przyjaźnemi słowy odpowiedź; bo przed starodawnym przywilejem, ukochanym przez miasto, parlament by też i ze wstrętem musiał głowę swoją uniżyć; a wesołe i hukliwe bractwo uciech i pustoty, zatwierdzone uroczystym wyrokiem sądu, otrzymywało wyłączny przywilej chodzenia w maskach po mieście i udzielania swobody maskowania się innym za stósowną opłatą. Szło tedy bractwo na miasto, popisując się wszędzie swojemi facecyami, krotochwilami i moralizacyami *(facéties, joyeusetés, moralités)*, satyrami prozą i wierszem, bez żadnego względu na dostojeństwa, rodowitość lub zamożność, używając w całej pełności przywilejów, udzielonych od niepamiętnych czasów *Konardom,* bo te *Konardy* złożyły petycyę w parlamencie: *Konardom* odpowiedział parlament [1]).

---

[1]) Oto jest próbka poetycznych stosunków bractwa Konardów z parlamentem rueńskim. Petycya Konardów w 1540 r. tak się zaczyna:

„Le gros Conseil des Conards et l'Abbé
De Vous, nos Sieurs, prétendent le jubé...
(domagają się mównicy).

Po wysłuchaniu wniosków prokuratora jeneralnego, parlament dał wprawdzie przyjaźną odpowiedź, ale mniej dobrze usposobny jak zwykle, nie chciał, aby Konardy zamaskowani chodzili w nocy (aillent de masque de nuiet). Wielkie ztąd nieukontentowanie w bractwie za to odmówioaie masek nocnych (vu la dénégation de la masque de nuiet). Mówiono już nawet o przeniesieniu corocznej processyi do Fécamp, lub Saint-Gervais, przedmieścia rueńskiego, zależącego od fekampskiego opactwa i podobnie jak to opactwo, nie podchodzącego bynajmniej pod biskupią jurydykę. W tej ostateczno-

Dla *Konardów* tedy odtąd karnawał; dla nich całe miasto, ze wszystkiemi ulicami, placami, mieszkańcami i złośliwą kroniką; dla nich wyłączny przywilej cenzury, kazalnicy moralności, kazalnicy prawdy; bo odtąd ich tylko miasto chciało słuchać. Na próżno wieże katedry P. Maryi i licznych rueńskich kościołów, rozbujawszy łoskotnie wszystkie swoje dzwony, rozkazująco przyzywały wiernych na czterdziesto-godzinne nabożeństwo: — dzwoniły na wiatr; zacni mieszkańcy, posłuszni w ciągu całego roku, przeświadczeni, że od środy popielcowej znowu i na długo posłusznymi będą, chcieli tu pohulać po swojej myśli, odmawiając ucha wszelkiemu kazaniu, prócz kazania ulicznego. Pustota wszystkim zawróciła głowy, bo też to panowanie *Konardów*, panowanie gorąco upragnione przez jednych, niespokojnie i lękliwie oczekiwane przez drugich, panowanie groźne nawet parlamentowi, tak wysoko stojącemu, bez którego niczby się zrobić nie mogło; ale który tym *Konardom*, ulubieńcom miasta, nie mogąc odpowiedzieć (jakby sobie życzył) prozaicznem „n i c p o z w a l a m“, odpowiadał rymowanem *gaudeat*, wierszem pospolicie dość lichym, dzięki kłopotliwemu zajęciu umysłów, poruszonych petycyą wesołego bractwa. Uledz jej, było to abdykować. Wyrzekłszy raz fatalne „p o z w a l a m“, poważni dygnitarze sami poddawali się trwodze, budzonej przez owych *Konardów*, którym dopiéro co pełną przyznali swobodę. Co mówię? Nie śmieli już nawet jechać do sądowego gmachu w swoich czerwonych togach i na swoich mułach: *„de peur des insolences, qui se pouvoient faire lesdits jours, messieurs allant par les rues avec leurs robes d' escarlate,“* jak poświadczają regestra parlamentu, z daty 11. lutego 1547 r. Cóż dopiero dziać się musiało z innemi władzami miasta, niestety! Rada miejska, kapituła, izba skarbowa, wójtostwo, mieszczanie, szlachta, adwokaci, prokuratorowie, lekarzy, kupcy, księża, mnichy, laicy, mężczyzni, niewiasty—jednem słowem, wszyscy rachować się musieli z sumieniem; bo bez żadnego względu na płeć, stopień, zamożność, ród i dostojeństwo, czy duchowne, czy świeckie, wszyscy mogli być zahaczeni przez *Konardów*, a najbutniejsi najprędzej. Każda niedorzeczność, każdy grzeszek, każde głupstwo, każda podejrzana sprawka, byleby tylko nieco się rozniosła i śmieszną nastręczała stronę, musiała opłacić haracz tym wydrwiwaczom z urzędu, podchodziła pod ten nieubłagany trybunał szyderstwa, znachodziła się w jego sądowych spisach i z porządku wywoływaną była.

Jakże inaczej być mogło? Już na kilka dni wprzódy niestrudzeni wyśledżacze, istne Argusy, wzierający wszędzie, przetrzęśli miasto i przedmieścia, rozpytując się trotkliwie o sprawy, postępki i usterki każdego i sumienne spisując notatki; a kiedy po odbytem śledztwie wracali do opata *Konardów*, do kardynałów i patryarchów zebranych w *Konklawie*, ten poważny senat tyle już widział nagromadzonych głupstw, śmieszności i błazeństw, że do summarycznego ich spisania nie mało jeszcze potrzebował czasu. Kiedy już regestra zapełniono i sprawy uporządkowane zostały, rozpoczynały się sądy, zawsze przy drzwiach otwartych, pod gołem niebem; nie tak jak sądy S. Ludwika, na ustroniu, pod cieniem drzewa, ale na ulicach miasta w obecności wszystkich, szlachty, mieszczan, pospólstwa tłoczącego się zewsząd, zapychającego place; w obecnocności dam skupionych w oknach, widzących wszystko i widzianych przez wszystkich. Ciekawe sądy zaprawdę, w których nikt nie wygrywał sprawy, w których bijący i bici płacili grzywny—a często i publiczność z nimi.

Przez całe trzy dni włóczył się ten wędrowny trybunał: bębny, piszczałki i trąby oznajmiały z daleka postępujący orszak; orszak bez liczby, bez końca, cisnął się przez tłumy i rozbijał gromadnie na rozmaite części miasta; a każda gromada opatrzona była missyą wyszydzenia jakiego głupstwa, wychłostania jakiego występku, zgromienia jakiego nadużycia. Przedsięwzięcie niemałe, mozolne, na które czas trzydniowy nie wystarczał pewnie. Kupcy złej wiary, podejrzani sędziowie, księża Symonjacy, ojcowie skąpcy, marnotrawne dzieci, szlacheckie junaki, drobnowzrostki zapominający zbyt rychło zkąd wyszli, zawiadowcy cudzego dobra zbyt pamiętający o sobie, wszyscy miewali się z pyszna w tych burzliwych napaściach. Niedobrane małżeństwa, szalone przedsięwzięcia, intrygi wszelkiego rodzaju — nastręczały jeszcze nigdy niewyczerpane źródło, choć z niego ciągle czerpano. Nie lepiej działo się z fiskalnemi edyktami i z tymi, co takowe wymyślali; a nędza ludu śmielej tam opisywaną bywała, niż w raportach rządowych.

We wszystkich tych widowiskach *(montre)*, opat zamykał zawsze pochód otoczony swoimi kardynałami i patryarchami, siedzącymi podobnie jak on na wozie czworokonnym, z infułą na głowie, z pastorałem w ręku z wyciągniętą prawicą, błogosławiącą tłumy upojone radością, tem bardziej, że z wozu spadały na nie jak grad dziesięcio-wiersze (*dixain*), czworowiersze (*quatrain*), *paskile*, zawierające w sobie krocie śmiałych przymówek, których usta *Konardów* wypowiedzieć nie mogły, a które wyrywano sobie i czytano chciwie, w pośród głośnych śmiechów i hukliwych oznaków burzliwej radości.

ści przekonywający dziesięciowiersz (dixain), złożony w parlamencie przez woźnego S i r c u l d i, ówczesnego dowcipnisia i dobrego K o n a r d a, zmienił nagle usposobienie sądu. Wydał on dnia 21 lutego 1540 następujący wyrok:

„Sermis a vous, souffert et toleré,
Gros pére Abbé, vos Barons et Marquis
Aller masqué, triomphant, phaléré (strojnie)
Les jours et nuiets et . . . .
Fait par la Cour en tranquille séjour.
L'an mil cinq cent quarante, ce matin,
Mois de Febvrier, vingt et unieme jour,
En vers francois retirez du latin.“

Wszakże wszystko nie kończyło się na samej tylko przechadzce; liczne przygotowania zrobione już były w obszernej targowicy *(Hale)* przy *Starej wieży*, przezwanej na te dnie wesołości *Pałacem Opata Konardów*. Tam czekały na nich: okazała uczta, tańce, widowiska nawet, na jakie podówczas zdobyć się można było. Śpiewy, trąby, waltornie pod dachem, bębny i piszczałki; pod gołem niebem na rynku: długie stoły, a na nich smaczne potrawy i wytrawne wina; wszystko tam było na tym bankiecie, był nawet i l e k t o r, bo tak chciały ustawy zgromadzeń duchownych, z tą tylko różnicą, że tu poczciwiec obarczony tą funkcyą, czytał biesiadnikom w miejsce biblii, kronikę *Pantagruela* [2]) odpowiedniejszą stanowi umysłów. A potem na obszernej scenie odgrywano krotochwile, dyalogi, *moralizacye* jeszcze śmielsze od tych, które poprzednio na ulicach odegrane były.

Szły z kolei tańce i *moryski;* poczem dopiero następowała wielka sprawa *Opactwa Konardów*, a tą było przysądzenie nadgrody mieszczanom rueńskim, którzy za sumiennem i niewyłączającem nikogo zdaniem biegłych (*prud' hommes*), największe w ciągu roku popełnili głupstwo. Byłoto w odwrotnym względzie dzisiejsze *prix de vertu.* Łatwo się domyśleć i uwierzyć nie trudno, że tam ani pretendentów, ani suplikantów, ani rekomendacyi nie było, byli tylko mający prawo i to w takiej liczbie, że ich zrachować niktby nie zdołał; ale wszyscy skromni aż do zbytku, niczego nie pragnący goręcej jak tego, żeby o nich zapomniano. Na nieszczęście, wyśledżacze (*enqueteurs*) umieli dobrze wykryć te wszystkie utajone zasługi; bo też nie zdarzyły się żadne głupstwa, żadna hydota, żadna błazeńska przygoda, którejby tu nie rozpowiedziano od początku aż do końca ze wszystkiemi okolicznościami i najdrobniejszemi szczegółami, którejby nie przedstawiono tutaj w najpiękniejszem świetle, tak aby nic ze swojej nie straciła wartości. Ci zdrajcy *Repportery* rozwijali w tym razie całą swoją retorykę i wesoły humor tak zręcznie, tak zmyślnie, że tysiączne drobne sceny składały razem komedyą, nierównie lepszą od tej, którą dzisiaj wyprowadzają na scenę. Co do kłopotu sędziów (wobec tylu pięknych rzeczy do oszacowania, dla naznaczenia każdej odpowiedniego miejsca), snadno go sobie wyobrazić można, tem bardziej że *Konardy* byli przedewszystkiem bezstronnymi i prawymi sędziami, którzy za nic w świecie nie chcieliby ująć nikomu należnego prawa.

Ztąd też wielkie rozprawy każdego roku w tej zakonnej konklawie. W 1541 r. mianowicie, narada była długa, żwawa, burzliwa nawet, i zdawało się, że nigdy do końca nie przyjdzie, tak dalece było wiele spraw do spisania, mniej więcej godnych uwagi. Sędziowie zachodzili w głowę, po trzykroć przystępowano do wotowania i zgody nie było; aż nakoniec pewny rueński jurysta (który znalazłszy się w *Bayuex* w gospodzie pod dobrą datą, w braku gotówki żonę w kości przegrał [3]), pogodził zdania sędziów najtrudniejszych i najmniej skłonnych do śmiechu. Uznano go tedy g ł u p i m i c h l u b n y m k o n a r d e m [4]); pastorał należał mu z prawa, zostawało tylko wręczyć mu go z odpowiednią wystawą, co też tej godziny wykonał ów poważny i przezorny areopag, z całym przyborem pochodni, trąb i tarabanów.

Łatwo się domyśleć, że te hulanki nie wszystkim przypadały do smaku; duchowieństwo szczególniej ówczesne, szpiegowane w swoich niekanonicznych sprawach, nienawidziło śmiertelnie *Konardów*. Wiedziało ono dobrze, że niegdyś w Atenach, z takichto maskarad, wozów i pantomin wyrosła komedya; dlatego też po sto razy arcybiskup rueński i cała kapituła nalegali na zniesienie, a przynajmniej na powściągnienie *Konardów*.

Szczęściem dla *Konardów* było tuż przedmieście Św. Gerwazego, nie zależne od arcybiskupiej jurydyki, jak to poświadczało dziesięć wybornych konstytucyi, które każdy z *Konardów* znał na palcach; tak dalece, że za najmniejszą przeszkodą można było otrząsnąć pył z obuwia, przejść granicę i przenieść na swobodniejsze pole opowiadanie prawdy; całe miasto od najniższych do najwyższych byłoby niewątpliwie wyroiło się za *Konardami;* z dwojga tedy złego roztropność kazała wybierać mniejsze i zatrzymać w obwodzie miasta to, co za miastem jeszcze groźniejszem być mogło. Zresztą nie tak to łatwa była sprawa z *Konardami*, żarty ich dochodziły aż do stolicy, często i do tronu nawet, i niejeden z królów rozweselony ich dowcipem, byłby ich swoją zabezpieczył opieką.

Konardy nabyli też wielkiej wziętości po całej Francyi. *Brantome* mówi o nich z poważaniem; byłato najświetniejsza epoka ich dziejów. Już za Karola IX., po wydaniu sławnego edyktu w styczniu [5]), kalwiniści biorący górę, ludzie wcale nieweseli, zapowiadali, że te huczne uciechy i głośne wyskoki radości odbierały człowiekowi zimną krew, potrzebną do przezornego i dojrzałego rozpoznawania rzeczy. Karnawał tego roku przeszedł ponuro i głucho i co większa, lud rueński, rozważniejszy i skrupulatniejszy tym razem, o mało co nie ukamienował tych z *Konardów*, którzy gwałtem swobody bractwa swego używać chcieli. Trzeba czytać, jak poważny Teodor *de Bezé* tryumfuje z upokorzenia *Konardów.*

W karnawale 1695 r. podnieśli znowu głowę. Parlament upoważnił ich *„a user de leurs facéties et joieuseutez*

---

[2]) Autor jej R a b e l a i s, jeden z najdowcipniejszych ludzi swojego czasu.

[3]) En goguette et entre deux vins, y avait, faute d'argent comptant, joué sa femme aux dés.

[4]) Sot et glorieux conard.

[5]) Edykt wydany 17. stycznia 1562 r. za staraniem kanclerza l'H o s p i t a l, celem pojednania protestantów z katolikami.

ac coustumées faire avant les troubles.“ Mieszkańcy klasnęli w ręce i w głos się zaśmiali ujrzawszy na tryumfalnym wozie opata, z infułą i pastorałem, błogosławiącego rzesze. Miał on nadto tym razem na swojej głowie dostatnią krymkę czerwoną, podobną do tej, jakiej Ojciec św. używa. Kto nadto wymaga, czasem wszystko traci. Podniosły się klerykalne krzyki i tak dalece urosły w siłę, że biedny opat nietylko nowo wymyśloną krymkę, ale i dozwalaną mu dotychczas białą mitrę porzucić musiał. Zielona infuła i zielona krymka (kolor błaznów) służyły odtąd przewódzcy *Konardów*, a i to nie bez oporu; został mu pastorał — przywilej najgłówniejszy; rozjątrzeni *Konardy* tak żarliwie okładali nim boki umawiaczy, stronników i wynalazców fiskalnych edyktów, że lud, przez te pijawki bez żadnego miłosierdzia ssany, nie posiadał się z radości na widok tej zbawiennej chłosty.

Niechże nam kto powie, co tak dalece złego robiły owe saturnalia, pocieszające malkontentów, zawsze licznych, silnych po wszystkie czasy. Wielkie zamożności, wielkie dostojeństwa, wyszydzane peryodycznie, mniej budziły zawiści; lud, śmiejąc się na całe gardło ze swojej niedoli, zbroił się w cierpliwość i na nowe usposabiał ucisk, z których kiedyś znowu uśmiać się spodziewał.

„Niech się śmieją“—powiedziałby *Mazarin*—„zapłacą potem, a to rzecz główna.“ I w istocie, dopóki panowali *Konardy*, śmiano się każdego roku w wielkiem mieście *Rouen*, ale do krwawego wybuchu, do groźnego buntu nigdy nie przyszło. Rosła niechęć publiczna, burzyły się gminne namiętności, niechże się ukazali *Konardy*, śmiech rozbrajał wszystkich, łagodził gniewy i ukajał żale. Na nieszczęście, *Richelieu* nie był człowiekiem ani uprzejmym, ani wesołym, nie znał się na żartach. Potężne ramię kardynała ściągnęło z woza *Matkę pustoty w Dijon* na smutek całej Burgundyi. Jakże miało oszczędzić opata *Konardów?* Wzburzyło się miasto, odgrażano się, krzyczano, ale *Konardy* upadli na zawsze.

Bo też na biedę przyszło im zaczepiać ludzi pieniężnych, miljonerów, fabrykantów fiskalności, pożyczających pieniędzy podupadłym królom i wyłudzających w zamian najuciążliwsze edykta. Nieprzyjaźń takich ludzi zgubną [illegible] odgadnąć snadno, ale cóż zyskała prowincya, mianowicie *Rouen*, utrzymywana tak długo w cierpliwości żartami *Konardów? Rouen* i cała Normandya, ssane aż do kości przez tych upiorów, nie lękających się publicznego wyszydzenia, nie śmiały się już zaprawdę, ale na serjo bunt podniosły. Nastali bosacy (*nuds-pieds*); ci się nie zanosili od śmiechu, nie składali wierszy, nie odgrywali krotochwil, rzucili się do trajedyi i to dosyć krwawej. Musiano ich powściągać, prześladować, ścigać, wytępiać, ztąd nowe trajedye; — czas śmiechu i żartów przeminął!

Ksawery Godebski.

STATUT WIŚLICKI.

PRZYPOMNIENIE HISTORYCZNE.

W chwilach upadku i niedoli zwraca się myśl z tęsknotą do wspomnień świetniejszej przeszłości. Kiedy słońce żywota naszego po pogodnem płynie niebie, dobiegając zenitu, żyjemy wrażeniami dnia obecnego i śmiałem okiem patrząc przed siebie, snujemy złotą nić przyszłości. Ale kiedy wśród wędrówki zasępi się nasz widnokrąg, kiedy dopiekać zacznie skwar cierpień, kiedy życie zacięży nam jak kajdany i ujrzym w dali otwarty wśród drogi na nasze przyjęcie grób, wówczas okrywa się świat jakoby czarną krepą przed okiem naszem, więdnieją kwiaty młodzieńczych marzeń i smętna dusza tonie w przeszłości, poi się wspomnieniami słonecznych dni poranku żywota. I błogo temu, kto z tego poranku uniósł takie wspomnienia, które mu w spiekotę południa staną się krynicą świeżą i orzeźwiającą, a o chłodnym wieczorze zastąpią mu gasnące słońce i rozgrzeją swojem ciepłem krzepnące serce.

Tak bywa u pojedyńczych ludzi i tak też bywa u całych narodów.

Toć i u nas, kiedyśmy stracili byt polityczny, kiedy niewola przygniotła pierś narodu, rozmiłowaliśmy się zbolałem sercem w przeszłości, i dziejopisarstwo nasze cofnęło się w ubiegłe wieki, aby usunąć sobie z przed oczu teraźniejszość. W XVI. wieku, w epoce kwitnienia wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej, zaprzątały dziejopisów naszych przeważnie spółczesne im wypadki, i niejako tylko dla związku całości, dla wysnucia wątku opowiadania od początku, sięgali czasami w daleką przeszłość, wydobywając z niej świadectwa dawności i sławy narodu dla opromienienia bieżących dziejów tym większym blaskiem. Gdy się czasy zmieniły, gdy przeszłość nasza straconą została niepowrotnie, zaczęliśmy szukać w ubiegłych dawno czasach pokrzepienia i nadziei, zastępując rozpamiętywaniem to, czego nam odmówiła chwila obecna.

Jak po stracie ukochanej osoby, staje się nam podwójnie drogą każda pozostała po niej drobnostka, tak nam po stracie niepodległego bytu i politycznego samowładz-

twa narodu, opromienił urok świętości całe dzieje nasze przedrozbiorowe, które oderwane przemocą od teraźniejszości, powstrzymane gwałtem w naturalnym rozwoju, wyrzucone z kolei wskazanej im przez Opatrzność, stały się dla nas jakoby utraconym rajem, za którym wiecznie tęskni serce wygnańców trawione cierpieniem.

Jakoż zbieramy z religijną czcią wszystkie wspomnienia tej przeszłości, wszystkie pomniki i pamiątki: stare zbroje i stroje, dawne księgi i pergaminy, które butwiały okryte pyłem po archiwach prywatnych i publicznych, po lamusach szlacheckich i grodach starościńskich, puszczone w niepamięć, jak długo rwący prąd życia politycznego unosił naród, nie zostawiając mu czasu do badania i rozbierania zabytków dawnych wieków.

W przeciągu ostatnich lat stu wzbogaciła się też literatura nasza długim szeregiem zbiorów dawnych dokumentów i dyplomów, nowych krytycznie opracowanych wydań kronik i roczników, zabytków języka z czasów Piastów i pierwszych Jagiellonów, i starodawnych prawa polskiego pomników.

Pomiędzy temi ostatniemi doczekała się w naszych już czasach pierwszego wydania i ocenienia krytycznego także i wiekopomna praca ustawodawcza Kazimierza W., najdawniejsza nasza księga praw, takzwany Statut Wiślicki.

Właśnie w bieżącym roku skończyło się pięć wieków od owej pamiętnej chwili, kiedy król kmiotków tą pierwszą księgą ustaw obdarzył swój naród, kładąc tak podwalinę całego przyszłego ustawodawstwa Polski. Sądzimy więc, że teraźniejsza pięciowiekowa rocznica Statutu Wiślickiego jest najstosowniejszą chwilą do przypomnienia czytelnikom naszym znaczenia tego najdawniejszego pomnika prawodawstwa polskiego i podniesienia zasługi, jaką położył około narodu tą pracą ustawodawczą ostatni nasz król z dynastyi Piastów.

Kazimierz W. objął królestwo polskie po ojcu swoim Władysławie Łokietku, wyniszczone długoletniemi wojnami, zawalone gruzami, uszczuplone i zagrożone zewsząd przez potężnych nieprzyjaciół. Podźwigniona z upadku, wydarta z rąk obcego monarchy przez Łokietka, odzyskała była Polska wprawdzie niepodległość krwawą pracą, ale pogrążona w nieładzie, zubożała, zterana bojami, potrzebowała ona długiego pokoju i troskliwej opieki, aby powrócić do sił i odeprzeć czyhających na jej zgubę sąsiadów. Starał się więc Kazimierz przedewszystkiem o zapewnienie pokoju rozkołatanemu królestwu, i aby osiągnąć ten cel zawiązywał układy z wrogami, wciągał powolniejszych w przymierza, nie wahał się nawet robić im znaczne ustępstwa, byle tylko odwrócić wojnę z zewnątrz i zyskać tym sposobem czas i możność do pracy wewnętrznej, do zagospodarowania i zabudowania spustoszonego kraju. Korzystając z okupionego niemałym trudem i niemałym kosztem pokoju, poświęcał się mądry ten król z niezmordowaną pilnością wszystkim gałęziom administracyi, zwracał baczną uwagę na najdrobniejsze potrzeby, obmyślał środki zaradzenia niedoli i ubóstwu, użyczał swojej opieki rolnikom i starał się o rozszerzenie i podniesienie uprawy roli, sprowadzał tłumy osadników do wyludnionogo kraju, odbudowywał i owarowywał miasta, kopał kanały, regulował spławy na rzekach, trzebił bory, przecinał nowe gościńce, i sypał groble przez trzęsawiska, budził przemysł i ożywiał ruch handlowy.

Po kilkunastoletniej tak skrzętnej i wszechstronnej pracy odrodziła się Polska pod ręką gospodarnego króla kmieci i mieszczan. Uszczerbki poniesione przez konieczne ustępstwa dla zaspokojenia chciwości Czechów i Krzyżaków, powetował Kazimierz Polsce odzyskaniem prastarej jej dzierżawy, pokrewnej Lechii Rusi Czerwonej, gdzie Polska odtąd na długie wieki miała stać na straży chrześcijaństwa i z rozszerzaniem swoich granic szerzyć zarazem granice cywilizacyi coraz dalej ku wschodowi. Role okryły się plennym kłosem i pomnożone nabytkiem niezmiernie urodzajnych niw czerwonoruskich dostarczały zboża nietylko na potrzeby codzienne i na zapasy na ciężkie lata nieurodzaju, lecz nawet do wywozu za granicę. Powstało po pustkowiach mnóstwo nowych osad, miasta podniosły się i przepełniły przemysłowymi przybyszami z zachodu, którzy rozmiłowawszy się w nowej ojczyźnie swojej przeistoczyli się w Polaków — jak wówczas mówiono — wmieszkanych, i wywdzięczali się za chleb polski korzystnemi dla kraju spekulacyami i szerzeniem nieznanych dotąd w tych stronach kunsztów i nauk. Przemysł zakwitnął, lada miasto liczyło po kilkanaście, ba nawet kilkadziesiąt cechów i konfraternij rzemieślniczych; sukna z warsztatów polskich współzawodniczyły z suknami flandryjskiemi i poszukiwane były za granicą. Handel się rozszerzył i ożywił niezmiernie, a miasta leżące na głównym trakcie karawanowym, łączącym wschód azyatycki z zachodem europejskim, porosły w nieznane dotąd Polsce bogactwa. Równocześnie wzbogacił się i skarb królewski, który był podówczas zarazem skarbem państwa, tak że przyszli zapożyczać się u bogatego a szczodrego króla Piasta sąsiedni monarchowie, i nawet sam cesarz rzymsko-niemiecki, dumny urojonem prawem do panowania całemu światu chrześciańskiemu, został dłużnikiem naszego Kazimierza.

Wzbogaconej tak pracą i rozumem Kazimierza Polsce, niedostawało jeszcze tylko jednej rzeczy, ale rzeczy nie małej wagi, t. j. nie miała ona uporządkowanego, zarówno wszystkich obowiązującego powszechnego prawa. Rozległą nowizną było bowiem jeszcze podówczas pole prawodawstwa naszego, a o ile większy w stosunkach prawnych panował zamęt, o tyle więcej naglił czas do ustalenia prawa w formę jaśniejszą i pewniejszą pisanych statutów, ale też i o tyle trudniejszem stawało się przeprowadzenie

tego zadania. Polska rządziła się wówczas w swych stosunkach towarzyskich i państwowych głównie tylko prawem zwyczajowem. Prawo to uzupełniali i reformowali stosownie do chwilowej potrzeby poprzednicy Kazimierza na tronie, wydając różnemi czasy pojedynczo różne pisemne ustawy pod nazwą wieczystych edyktów i dekretów. Ustawy te zapisywano wprawdzie w księgi sądowe, w tak zwane *tabulae judicii*, ale nikt nie ułożył ich w pewien system i też żaden z przodków Kazimierza nie wydał obszerniejszej ustawy, wymierzonej na powszechne stosunki prawa cywilnego i karnego. Nieustalone i w nierozgarnionym bezładzie pogrążone prawodawstwo przedkazimierzowe, po rozdrobieniu Polski przez potomków Krzywoustego na dzielnice książęce, powyróżniało się stosownie do różnorodnych wpływów, jakim podlegały udzielne prowincye; wyrobiła się rozmaita praktyka sądowa, a burze wewnętrzne i wojny zewnętrzne, przez długie lata się srożące, otworzyły na ścieżaj wrota zdzierstwom i nadużyciom wszelakim.

Kazimierz widział ten niepewny stan prawnych stosunków w królestwie swojem, graniczący prawie o bezprawie, i też zaraz w pierwszej chwili wstąpienia na tron powziął myśl uregulowania i zreformowania prawa polskiego, obdarzenia narodu pisaną księgą ustaw, obowiązującą powszechnie, „aby we wszem królestwie był jeden książę, jedna moneta i jedno prawo.“ Myśl ta zaprzątała Kazimierza nieustannie obok wszelkich innych spraw, i zajął się już jej zrealizowaniem, skoro tylko traktat Kaliski (1343) zagodził ostatecznie sprawę z zakonem krzyżackim i zapewnił Polsce z tej strony pokój i bezpieczeństwo. Popęd prawodawczy króla popierał najdzielniej uczony w Bononii i niegdyś rektor uczniów tamtejszej akademii, arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogorya Skotnicki, który we wszystkich publicznych sprawach królewskich zawsze bardzo bywał czynnym. Obok uczonego arcybiskupa służył królowi w ustawodawczem dziele zachętą i radą ulubieniec Kazimierza, a siostrzeniec arcybiskupa Jarosława, Janusz Strzelecki, zwany Suchywilkiem, Sędomierzanin z Grzymalitów rodu, mąż wielkiej nauki, piastujący kolejno przy królu godność kanclerza ruskiego i krakowskiego. Za radą tedy i pomocą, głównie tych dwóch mężów uczonych rozpoczął Kazimierz wiekopomną swą pracę ustawodawczą, usuwając trudności, które jej dokonaniu stawały w drodze. A były te trudności rozliczne i niełatwe do zwyciężenia.

Nie wystarczało bowiem już wówczas wydawanie potocznych rozporządzeń i pojedynczych edyktów, trzeba było zebrać wszystko, co starodawnym zwyczajem moc prawa w narodzie otrzymało, co z postanowień przodków już na piśmie już w praktyce codziennej się zachowało, i to wszystko ułożyć w jedną całość, uporządkować i stosownie do potrzeb zreformować, zmienić, innemi zastąpić lub nowemi pomnożyć uchwałami.

Wypadało tedy przedewszystkiem utwierdzić prawo zwyczajowe. W tym celu zebrano i przewertowano wszystkie księgi sądowe, ale ponieważ te okazały się niedostatecznemi, więc musiano uciekać się do pamięci osobistej takich ludzi, którzy ze stanowiska swego jako sędziowie najlepszą mieli znajomość dawnych praw i zwyczajów. Wydał tedy król rozkaz do wszystkich wojewodów, aby w ziemiach swoich zarządzili spisanie praw zwyczajowych, w użyciu sądowem zostających, i aby te spisy na dzień oznaczony złożyli właściwym kancelaryom królewskim, wielkopolskiej i krakowskiej. Zbierano bowiem i spisywano osobno wielkopolskie a osobno małopolskie zwyczaje prawne, które pod wielu względami znacznie się pomiędzy sobą różniły, gdyż Wielkopolska i Małopolska stanowiły jeszcze podówczas dwa różne organizmy, jakoby dwa narody, rywalizujące ze sobą o pierwszeństwo. Odrębność tę pomiędzy oboma rdzennemi prowincyami Polski, opartą z dawna na pewnych różnicach etnograficznych pomiędzy ludem Polan i Chrobatów, wyrobiły i spotęgowały poźniej podziały pomiędzy potomkami Krzywoustego, wśród których wzmógł się w młodszej Małopolsce żywioł możnowładczy i od czasów przeniesienia stolicy z Gniezna do Krakowa począł sobie rościć prawo do przewodniczenia drobnoszlacheckiej Wielkopolsce.

Kiedy spisy praw zwyczajowych tak wielkopolskich jak małopolskich były wygotowane, zasiadło nad niemi grono wyznaczonych na ten cel przez króla mężów biegłych w prawie, aby je przejrzeć, porównać i uporządkować. Byli to uczeni duchowni prawnicy, którym przewodniczyli pomienieni doradzcy królewscy Jarosław i Janusz. Ułożyli oni i wygotowali dwie osobne księgi ustaw, dwa statuta, jeden dla Wielkopolski, drugi dla Małopolski. Pierwszy przedłożył Kazimierz Wielkopolanom w miesiącu lutym r. 1347 na zjeździe w Piotrkowie, drugi Małopolanom na innym, późniejszym wiecu, 11. marca tegoż roku w Wiślicy odprawionym. Po przyjęciu i uchwaleniu obu statutów przez panów wiecujących, dodano ostateczne poprawki i dopełnienia, poprzedzono obie księgi promulgacyjnemi manifestami królewskiemi, poczem w licznych kopiach wierzytelnych, opatrzonych pieczęcią majestatyczną, porozdawano je po wszystkich głównych urzędach i sądach.

Była tym sposobem uprzątnięta pierwsza niejako zapora, ale nie był jeszcze bynajmniej osiągnięty cel ostateczny. Rychło okazała się potrzeba poprawek i nowych rozporządzeń, a po niejakim czasie dawniejsze statuta nowszemi, dokładniejszemi i bogatszemi zastąpione być musiały. Zmiany te zacierały powoli różnice pomiędzy prowincyonalnym statutem wielkopolskim a małopolskim, już to przez to, że oba statuta wzbogacały się rozporządzeniami, które zarówno całą obowiązywały Polskę, już też przez to, że do statutu wielkopolskiego wcielono i przypi-

sano niektóre ustawy małopolskie. Tak stopniowo, bez nagłych i gwałownych zmian, wyrabiało się nieznacznie jednakowe dla obu prowincyj prawo, zbliżała się chwila, kiedy we „wszem królestwie miał być jeden książę, jedna moneta i jedno prawo.“ Opatrzność nie dozwoliła wprawdzie Kazimierzowi przeprowadzić zupełnej jednolitości prawa we wszystkich częściach królestwa swego, jednakże niezmordowanym usiłowaniom jego powiodło się posunąć rzeczy tak daleko, że u schyłku rządów i życia jego r. 1368 zebrali się prałaci, panowie i dostojnicy tak wielkopolscy jak małopolscy na wspólny wiec do Wiślicy, gdzie uchwalili nowe ustawy, roformujące niejeden przepis dawniejszych osobnych statutów, i z nich złożyli jeden, wspólny, obie prowincye zarówno obowiązujący statut.

Tak powstała najdawniejsza nazwa księgi praw, statut Kazimierzowski, zwany powszechnie Wiślickim, od miejsca ostatecznego ogłoszenia go zebranym na wiec panom wielkopolskim i małopolskim.

Prawników dzisiejszych, przywykłych do ułożonych według pewnego systemu kodeksów cywilnych i karnych, uderza w statucie Kazimierzowskim niesystematyczność i przypadkowość, w jakiej się pojedyńcze orzeczenia jego obok siebie znajdują. Prawo polityczne, sądownictwo cywilne i karne, procedury w obu, przepisy policyjne i administracyjne, wszystko to jest tam zmieszane razem bez żadnego odgraniczenia. Ten nieład, rażący dzisiejszych prawoznawców, nie zmniejsza jednakże bynajmniej wartości poważnej księgi Kazimierzowej, nie był on bowiem wyłączną jej wadą, lecz wadą ogólną onych czasów, których miarą należy ją mierzyć. Porównywając statut Kazimierza W. z współczesnemi mu księgami ustaw i pomnikami praw innych narodów, przekonywamy się, że nietylko nie ustępuje on im pod żadnym względem, lecz owszem w wielu względach je przewyższa. Przewyższa mianowicie tem, że nie był wynikiem bezwzględnej woli króla, ani oderwaną teoryą, ani cudzoziemskiego prawa przyswojeniem, lecz opierał się na podstawie starych narodowych zwyczajów, a uwzględniając rzeczywiście doświadczone i rozumnie na uwagę brane potrzeby społeczeństwa, odznaczał się skromną prostotą prawdziwej, głębokiej mądrości; przewyższa tem, że dążył przedewszystkiem do sprawiedliwości, używając wszelkich żywiołów, jakie znalazł w kraju, na zbudowanie gmachu, jeżeli nie doskonałego, to przynajmniej mającego wszystkie warunki życia i przyszłego doskonalenia się. Pomimo wszelkich niedokładności i niedostatków nie można więc ustawodawczej pracy Kazimierza odmówić wysokich zalet i należy przyznać, że była ona klejnotem niezrównanej dla przyszłości narodu wartości.

Prawo Kazimierza nic nie wywracało, a wszystko porządkowało i odbudowywało, uprzątując nieporządki anarchii, określając ściśle własność, dziedziczenie i puścizny, stawiąc prawo powszechne nad przywileje i egzemcye, ustalając praktykę sądową; dążyło ono do podniesienia zarówno ludności przemysłowej, rolniczej i rycerskiej, mieszczan, kmieci i szlachtę, miało na oku obronę kraju, przemysł i rolnictwo, a wyrzekało się wszelkiej stronniczości i rozciągało opiekę równą nad wszystkiemi stany, osłaniając wszystkich puklerzem sprawiedliwości i wolności obywatelskiej.

Jakoż potwierdzony za Jagiełły w r. 1422 na zjeździe w Czerwińsku, uważany był odtąd statut Wiślicki za fundament prawodawstwa polskiego, i wytłómaczony na język polski przez Swiętosława z Wojcieszyna, rozmaicie w póżniejszych czasach przerabiany i układany do praktycznego użytku, wszedł w *Volumina legum* Konarskiego. Krytycznem zbadaniem tego starożytnego pomnika prawa naszego, wydzieleniem pierwotnego jego tekstu z poźniejszych przerabiań i dodatków, zajęli się dopiero w ostatnich czasach Joach. Lelewel, Aleks. Maciejowski, Zygmunt Antoni Helzel, i Aleksander hr. Stadnicki, opierając swoje badania na wielu odpisach poźniejszych oryginalnego tekstu i tłómaczenia Swiętosława, zebranych z różnych zbiorów archiwalnych i bibliotek. Olbrzymia praca Antoniego Helcla „Starodawne prawa polskiego pomniki“ zasługuje przedewszystkiem na uwagę. Stanowi ona, można powiedzieć, epokę w badaniach historyi prawodawstwa polskiego. Jako owoc 20letnich poszukiwań podaje w niej uczony autor statuta wielkopolski, piotrkowski i małopolski, wiślicki z r. 1347 i poźniejszy, nareszcie powszechny statut Kazimierza W. z r. 1368, oraz zwód zupełny z tłómaczeniem Świętosława z Wojcieszyna, poprzedzając je obszernym i bardzo gruutownym wywodem krytyczno-historycznym. Aleksander hr. Stadnicki napisał „Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego statutu wiślickiego“, ułożony podług przedmiotów z uwzględnieniem poprawnej wersyi w dziele Helcla podanej i z ocenieniem zdobyczy naukowych przez jego badanie osiągniętych.

Łucyan Tatomir.

FRASZKA.

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

III.

Feliks przybył do Władysława, wzywając go, by w niedzielę pospołu pojechali do Wierzewa.

— Mam polecenie od mojej pani do panny Heleny— wymówił—i muszę wywiązać się z niego: przesyła jej książki, nuty i liścik.

— Chętnie bardzo z tobą pojadę, a wybierałem się właśnie.

— Będzie tam pani Sękowska z córkami, wcale nieszpetnemi. Doktor Tulicki, młody, przyjemny, wesoły—deklarowany wielbiciel panny Ludwiki, siostrzenicy pani Górnickiej, która właśnie także zjechała tam z ojcem. Więc zabawimy się dobrze... Ale wiesz? — zagadał nagle— Karol istotnie na Kaszuby pojechał.

— Kiedy?

— Wczoraj.

Władysław się uśmiechnął.

W niedzielę zatem pojechali do Wierzewa. Zebranie całe bawiło w ogrodzie, i przybyli pospieszyli tam także. Feliks paniom i pannom przyjaciela przedstawił.

Władysław wzrokiem szczególnego zajęcia, nieznacznie, przypatrzył się pannie Helenie. Miłe jej rysy niezwyczajnie zajmujący wyraz ożywiał; oczy miała duże, ciemne, głębszego wejrzenia; płeć nieco bladawą lecz świeżą; rumiane usta młody okrążał uśmiech. Kibić składna i wiotka poruszała się z wdziękiem. Miała sukienkę białą, muślinową, czarną aksamitkę na szyi, i wonną różę we włosach.

Pani Górnicka, dość młoda jeszcze i przyjemna, uprzejmą nowego sąsiada pogadanką zajęła, gdy mąż jej nadszedł. Piękna była to postać, wysoka, silnie zbudowana. Twarz rysów wyrazistych, otwartą, szlachetną, wąs nieco już szpakowaty zdobił. Łysinka dość duża niby większej dodawała mu powagi. Zagadał o Lesinie, o sprzęcie, i niebawem w interesującą, gospodarczą zapuścili się rozmowę.

W tem doktor gry towarzyskie zaproponował.

— Panie sąsiedzie — wymówił gospodarz — zechcesz zapewne do młodego należeć koła.

Władysław powstał z półukłonem i udał się za doktorem na trawnik, gdzie młode grono z laseczkami i obrączką na nich czekało. Po grze obrączek nastąpiły inne, ruchliwe więcej, i wesoła wrzawa szerzyła się w około. Aż wreszcie znużeni, wszyscy na ławeczkach pod rozłożystym zasiedli kasztanem.

— To i cóż teraz? — zapytał doktor.

— Pograjmy w sekretarza — ozwała się jedna z panien Sękowskich.

— Albo w zapytania i odpowiedzi— zauważała Helena— to jest więcej zajmujące.

— I myślowe — dodała Ludwika.

— Przyniosę papier natychmiast i ołówki!—I młody adept eskulapa pobiegł do dworu, i niebawem z całym pożądanym wrócił zapasem.

— Zaproponowałbym zmianę pewną pod względem zapytań i odpowiedzi— wymówił Władysław— jeżeli panie pozwolicie.

— Jakąż to? — zapytała Helena.

— Ażeby każda osoba napisała pytanie na przydłuższej karteczce, a wszyscy z kolei na to odpowiadali pytanie. W tej różności zdań większa jeszcze jest rozmaitość.

— To prawda! Ale zapewne winien każdy tak założyć karteczkę, by następujący nie dojrzał co napisał?

— Właśnie, pani...

Doktor rozdzielił karteczki, jakby długie recepty, i opatrzył każdego ołówkiem. Piśmiennictwo rozpoczęło się na dobre, że i nikt nie zważał, jak na drugim stole podwieczorek zastawiono. Karteczki z zapytaniami rozdano znowu, i z kolei jedni podawali je drugim, chroniąc się troskliwie, by nikt położonej odpowiedzi nie zobaczył.

Gdy już wszyscy swoje podpisy pokładli, podano czarę ze zwitkami Władysławowi, by je głośno przeczytał. A przystąpiły i starsze osoby, ażeby posłuchać.

— „Czem jest życie?“ — czytał — Darem bożym — nadzieją — miłością — przejściem — przekazem obowiązków — zastanowił się na chwilę, uderzony tą odpowiedzią, i powiódł wzrokiem około stołu. Oko jego mimowolnie zatrzymało się na wdzięcznem obliczu Heleny, która ze spuszczonem czołem coś tam kreśliła ołówkiem, a niby zróżowiała nagle, jak gdyby wzrok młodego na swojem poczuła licu.

— To jeszcze nie wszystkie są odpowiedzi? — zapytał doktor.

— Nie. Przepraszam! Zastanowiłem się tylko. Władysław zlekka zapłonął i czytał dalej: Trudem — kartą do zapisków — niwą.“

Doktor podał karteczkę z zapytaniem panny Heleny: „Czem jest przyjaźń?“ I Władysław ładne poznał literki, tą samą rękę, która nakreśliła: „Przekazem obowiązków. Jakto domyślił się zaraz.

Odpowiedzi na drugie pytanie były: „Ideałem — poezyą — prawdą — wiarą — miłością bez szału — marą — pomiędzy kobiétami fenomenem“ — a Władysław

dodał: — „dobrem najwyższem, a dosięgniętem bardzo rzadko.“

Panie gromiąco powstały na przedostatnią odpowiedź, niechcąc jej przyznać słuszności, i dochodziły, kto z tym wyrwał się konceptem. Panna Ludwika niestety poznała rękę doktora, i biedaczysko burkę oberwał. Upokorzył się wszelako zaraz, przeprosił, odwołał i wina wspaniałomyślnie darowaną mu została.

Feliks zapytał: „Czem jest Poznań?“ Władysław przeczytał: „Aglomeratem murów — rezerwoarem kurzu— stekiem trzech nieprzychylnych sobie narodowości — nudami — pamiątką dla nas! — poznał znowu te same ładne literki — „gwarem — otchłanią dla niejednego.“

Gospodyni domu poprosiła, by towarzystwo na chwilę zawiesiło zabawy, a do podwieczorka przystąpić raczyło, i ruszyli się wszyscy na to wezwanie.

Kawa z wyborną śmietanką, chleb, bułeczki, masło, bita śmietanka, owoce, prawdziwie wiejski podwieczorek składały.

— Czy i pani potępiasz doktora za położoną odpowiedź co do przyjaźni? — zapytał Władysław przysiadując się do Heleny.

— Nie potępiam — odrzekła — lubo że przyjemną być nie mogła. Jest to ogólny zarzut: że przyjaźń pomiędzy kobiétami istnieć nie może. I podobno, że w tym razie zastosowanoby także i przysłowie: prawda w oczy kole.

— Ale pozwolisz pani zapytać, jakież jest zdanie pani pod tym względem?

— Moje zdanie? Pragnęłabym z duszy całej, byśmy temu nie podlegały zarzutowi. Mam to przekonanie, że mamy w wysokim stopniu poczucie przyjaźni, że za nią tęschnimy Ale, jeżeli zarzut braku przyjaźni pomiędzy nami, a raczej jej niemożebności, jest uzasadnionym, to i tłumaczenie się nastręcza.

— Jakżeżbyś je pani tłumaczyła?

— Całe szczęście kobiéty zależnym bywa najczęściej od tych wszystkich, którzy ją otaczają, którzy prawa do jej osiągnęli serca, i których pokochała. A zależy ono niekiedy i... i od drobnostek, które chwyta, których trzyma się upornie. I ta zależność szczęścia od drugich rodzi pewne... że tak powiem, uczucie obawy, by na drugą to nie spłynęło, do czego jej dusza przyrasta. Helena zapłonęła jak różyczka, nie mogąc zapewne wypowiedzieć wszystkiego, jak to rozumiała. Poczuła, że jej odpowiedź niedostateczną była, że myśli swojej nie wypowiedziała całkiem.

— Więc to uczucie zazdrości — zagadał Władysław.

— Nie zazdrości... nie wyraźnie, zazdrości! — zawołała młoda dziewczyna—bo to aż nadto byłoby brzydkiem. Ale obawa... z zależności uczucia wynikła. A czyliż z tego wyzwolimy się kiedy? — wyrzekła z uśmiechem.

— Nazwiej to pani obawą, co kto inny nazwałby zazdrością zawsze — dodał ciszej — i tej właśnie zazdrości przypisują, że przyjaźń pomiędzy kobiétami istnieć nie może.

— A czyliż i pomiędzy mężczyznami niema zazdrości?— zagadnęła panna ze szczególnym wyrazem.

— Trudno byłoby zaprzeczyć — uśmiechnął się Władysław — ale pomiędzy kobiétami do każdego wiąże się drobiazgu.

— Bo kobiéta łacno do wszystkiego przylgnie i żyje uczuciem, a serce zależną ją czyni, powtarzam. Lecz jeszcze jedno pytanie: Czyliż przyjaźń pomiędzy mężczyznami tak powszednim jest przymiotem?

— Bynajmniéj! Rzadkość to wielka. To jest: przyjaźń prawdziwa, w całem wielkiem znaczeniu.

— Ta odpowiedź wystarcza mi zupełnie — odrzekła ze znaczącym wyrazem — zadowoliła i ukoiła wszelkie podrażnienie miłości własnej, niewieściego uczucia.

Towarzystwo po podwieczorku powstało i znowu rozpoczęły się gry.

Poźno rozjechali się goście. Władysław siadł do koczyka Feliksa, a *gig* jego szedł za nimi. Na rozstajnych drogach mieli pożegnać się dopiero.

— Wiesz — zagadał pierwszy — przyszedłem dziś do nieomylnego przekonania, że panna Helena nigdy nie kochała Karola.

— I ja tak myślę. Ale cóż ciebie przekonało?

— Na zapytanie: „Czem jest życie?“ — odpowiedziała: „Przekazem obowiązków.“ Dowodzi to myśli i głębszego poczucia, a istota taka nie mogłaby nigdy tylko powierzchowność pokochać.

— Przyznaję, że masz słuszność. I ja bardzo wysoko pannę Helenę cenię.

— A namawiałeś Karola?

— Boć on w gruncie dobrym jest chłopcem. Byłby może i mężem dobrym.

— Materyalista, samolub!

— Byłaby go przerobiła może.

— Może?! Albo też wytrawiła się przy nim!

— Miałem na względzie pozycyą jego.

— Otóż to właśnie, że ta zawsze na pierwszym przedewszystkiem być musi planie!

— Ale i jego rzeczywiście prawy charakter, powtarzam. Dobry to chłopiec, wierzaj mi.

— Czczy... A miły grosz dla niego wszystkiem.

— Wiem nawet, że bardzo był zakochany, że dziś kocha się jeszcze.

— I dla posagu drugiej, której nie zna wcale, tej swojej wyrzeka się miłości? — wybuchnął Władysław.

— Takie jest przekonanie moje.

— Nie była to miłość prawdziwa! Bo ta zapanuje inaczej... i nie pozostawi miejsca na żadno maluczkie, nieszlachetne uczucie. Kochał ją tylko, o ile egoiści kochać

umieją. Podobała się, i umiłował sam siebie w jej ładnych oczkach. To nie jest miłość!

Na rozstajnych drogach przystanęły powozy. Powiedzieli sobie: Dobranoc. *Gig* wartko do Lesina pogonił — rącza czwórka Feliksa do jego Zaborowa poniosła.

Stanąwszy u siebie Władysław zeskoczył. Oddał płaszcz chłopcu, który na niego czekał, a sam pobiegł ku gumnom i stajniom, czyli wszystko w przynależnym jest porządku. Obszedł wszędzie i do dworu powrócił. Chłopak lampę w pierwszym zapalił pokoju. Skromny on przedstawiał widok: szafa z książkami, pisarka, szafka z papierami, leżanka (szesląg), kanapka, kilka krzeseł i dwa stoliki, wszystkie stanowiły sprzęty.

Władysław wyjął z pisarki jakieś niby album książkę zapiskową, i przerzuciwszy kilkanaście stronnic, znać dla pamięci zamieścił: „Czem jest życie?“ — „Przekazem obowiązków.“

I zamajaczyła mu wdzięczna postać w bieli z aksamitką na szyi a różyczką we włosach.

IV.

Pan Karol zajechał szczęśliwie do Skowronowa, na pograniczu Żuław, zkąd jeszcze dwie mile było do Borek. Wypoczął, zjadł obiad, i wyruszył dalej. Było to w sobotę.

Około godziny szóstej ujrzał metę dążeń swoich: wioskę poza lasami i wodami, wśród żyźnych, żyto i ziemniaki rodzących smugów; domki drewniane, ciemne niby smutne. Dworek murowany, gumna także z drzewa, gęstemi sztachetami ogrodzone. Poza dworem ogród owocowy, podzielony w kwatery, a dalej warzywny. Zajazd nic nie zdobiło. Brama, wrota sztachetowe stały przymknięte. Naprzeciw wznosił się kościółek na pagórku gołym, a obok plebania drewniana, wśród drzew owocowych, z wysokim w koło płotem. Całość obrazu powabną nie była wcale.



Kazimierz Wielki obdarza naród polski pierwszą księgą praw. (Podług fresca Markoniego w towarzystwie kredyt. w Warszawie). (str. 317.)

Powóz przystanął i niebawem ukazał się proboszcz, niski, szczupły, twarzy okrągłej, dobrodusznego wyrazu.

— Zapewne mam szczęście powitać pana Giżyńskiego — wymówił witając go.

— Tak jest szanowny proboszczu dobrodzieju. Szczęście i honor po mojej stronie — odrzekł Karol grzecznie.

— Uprzedził mnie mój siostrzeniec i szanowna pani Zaniewska. Cieszyłem się szczerze na pana dobrodzieja. Dawno to, żem nikogo z tamtych nie widział okolic.

Weszli do niedużego pokoju, w którym okno do ogrodu

całkiem zasłaniały gałęzie jabłoni. Sprzęty skromne, a raczej proste. Proboszcz prosił gościa siedzieć, i zawołał na gospodynią o kawę.

— Domyślam się, a raczej napisał mi siostrzeniec — uśmiechnął się proboszcz, biorąc z rogowej tabakierki niuszek tabaki — jaki to interes pana dobrodzieja tutaj sprowadza. Może i nie godziłoby się tak zaraz z kopyta o tem mówić, ale: *clara pacta claros faciunt amicos.*

— Tak jest, księże proboszczu—odrzekł Karol—i wdzięczny jestem za tę otwartość.

— Pan Muszalski jest dziedzicem Borek od lat dziewięciu. Przybył tu z Augustowskiego. Podniósł wieś bardzo pod każdym względem, i posiada opinią bogatego człowieka. Gotówkę ma znaczną, to jest pewna. Widziałem sam wypis jego *Pfandbryfów*, wcale długi rządek, lubo nie wiem ile zawierał. Mówi zawsze, że bratanka ma sto-tysięcy posagu. Jest gosdodarzem dobrym, starannym, pilnym, spekulacyjnym, i wiedzie mu się szczęśliwie. A przytem dobry rachmistrz... i skąpy.

— Mówiono mi, że majątek jego wynosi do czterech kroć? — wtrącił Karol.

— Być może. Gadał on o tem, że chciałby Borki sprzedać i kupić znaczniejszy majątek, wartości trzech do czterech kroć. Słyszałem to z ust jego już nieraz.

— Ileż dał za Borki?

— Trzydzieści trzy tysiące.

— Ale dziś warte znacznie więcej.

— O, zapewne!

— A cóż panna?

— Panna Marcyanna jest młoda. Ma lat ośmnaście. Miała guwernantkę Polkę nasamprzód. Potem Niemkę przez lat kilka, a w końcu była na pensyi w Dreźnie.

— Więc wykształcona?

— Gra na fortepianie. Mówi po niemiecku, po francuzku. Jutro ich pan dobrodziej poznasz.

Karol był dość zadowolonym z tego co posłyszał. Wyszli potem na przechadzkę z proboszczem. Widział żyźne pola, dobrze uprawną rolę, i arcypiękne żóławskie bydełko.

— Jakież tu jest życie? — zagadał Karol — okolica przedstawia się posępno.

— Leśna. Przyzwyczaić się można. Lud dobry, poczciwy, pracowity, porządny i polski.

— Ależ obywatele?

— Tutaj parę jest Niemców. Dalej więcej jest rodzin polskich, i zacne domy.

— Nie nęcą mnie Kaszuby.

— Jest chleb.

Pokoik wskazany Karolowi na górze w plebanii nie przedstawiał wielkiego *komfortu*, ale w sierpniu, gdy sprzyja pogoda, to i wszędzie być może dobrze.

Nazajutrz poszedł z proboszczem do kościoła i zasiadł jednę z ławek przed wielkim ołtarzem. Kościołek był niebogaty, a organy rozstrojonem dźwięczały brzmieniem.

Niezadługo nadszedł mężczyzna lat sześćdziesięciu, nizki, grubawy. Twarz mocno rumianą, ogorzałą, odznaczał nos duży, szeroki, pod którym sierdził się wąs szpakowaty. Głowę gęsta, również mocno szpakowata pokrywała czupryna. Miał szaraczkowy paletot nowy zupełnie, na szyi jakieś żółtawe wiązanie. Za nim postępowała młoda dziewczyna, dowodząca jawnie swojego z nim pokrewieństwa; nizka, pękata, z tak krótkim karczkiem, iż się zdawało, że głowa jej na ramionach siedzi. Wystające policzki były mocno rumiane, oczki małe, gdzieś tam głęboko w głowie; włosy jasne jak len, naokoło maleńkiego kapelusika w gęstych jawiły się zwojach. Kapelusik ten był z krepy różowej z różami. Miała na sobie sukienkę z bareżu koloru *havannah*, podpiętą na spodnicy z szlakiem barwnym. Na szerokich stopach piaskowe buciki. Na tłustych rączkach żółte rękawiczki, niemal pomarańczowe. A błyszczały na niej zegarek z łańcuszkiem, broszka, kolczyki i gruba braseletka.

Karol dziwił się nieco tym złotom. Znać nie przypuszczał w niewinności swojego ducha, że we dworze wczoraj jeszcze o przybyciu wielkiego gościa na probostwo wiedziano, i że panna Marcyanna dla niego te ozdoby pokładła. Bardzo zresztą naturalnie! Dziewczę młode, a taka sposobność nastręczała się rzadko. Pan Muszalski z bratanką usiedli naprzeciw niego, i bardzo przykładnie posłuchali kazania, a potem i mszy św. wysłuchali. Panna Marcyanna tylko z boku, poprawiając sobie niby kapelusika, po razy parę pomiędzy palcami na niego spojrzała. Winniśmy jeszcze dodać, że za nimi przyniósł chłopak w liberyi— szaraczek z zieloną wypustką — książki do nabożeństwa.

Po nabożeństwie przed kościołem, przedstawił proboszcz:

— Pan Karol Giżyński, dziedzic Łuczyny z Poznańskiego, mój niegdyś uczeń — domówił, ale mu to jakoś z ust wyjść nie chciało — i łaskawy na mnie. Pan Muszalski szanowny mój kolator. Panna Marcyanna, jego bratanka.

Nastąpiły ukłony. Panna dygnęła jak ją tancmistrz nauczył. Rozmawiając wyszli z cmętarza. Przystanęli znowu gawędząc dalej, aż wreszcie pan Muszalski proboszcza i gościa jego na obiad zaprosił. Co oczywiście bardzo uprzejmie przyjętem zostało.

O godzinie pierwszej przeto udali się do dworu. Karol zauważył systematyczny wszędzie porządek. Na uboczu, pod dachem szkudlanym, w długim szeregu stały symetrycznie ułożone sążnie rąbanego drzewa, znać już przysposobione na zimę.

Lokajczyk wprowadził ich do pokoju bawialnego, mówiąc, że wielmożny pan zaraz nadejdzie. Karol obejrzał się po onym salonie: obicie było białe z szafirowem, na

podłodze cerata, już nieco wydeptana w środku. Meble zwyczajne, gruszkowe, pąsowa pokrywała tkanka. Firanki białe, na pozłacanych drążkach, nie pierwszej były świeżości. Stał tam i fortepian dość piękny. A w rogu pokoju serwantka za szkłem. Całość ta nie bardzo mile przemawiała do wybredniejszego gustu dziedzica Łuczyny.

Po chwili weszła panna Marcyanna. Nastąpiły ukłony. Panna odchrząknęła, usiadła na kanapie uśmiechnięta i panów usiąść poprosiła. Ktoś wyrzekł, że każda kobiéta, choćby i najbrzydsza, musi mieć coś ładnego. To też panna Marcyanna piękne miała włosy, a rączka pulchna, lubo nie mała, była dość kształtna i biała.

Proboszcz zagadał, że pan Giżyński jest po raz pierwszy w tych stronach, które zupełną dla niego nowość mają. Pan Karol coś tam o żyźnych, leśnych nadmienił pastwiskach.

— Ale okolica nieładna — ozwała się panna.

— Rodzajna — odrzekł kawaler.

— Ach mnie po Dreźnie tak wydaje się brzydką!

— Tak, po Dreźnie zapewne.

— Pan znasz Drezno?

— Znam pani.

— Ja codziennie proszę stryjaszka, ażeby Borki sprzedał. Wszakżeż w Poznańskiem jest ładnie?

— Moja to strona i mnie podoba się.

— Ksiądz proboszcz zachwalał ją nieraz.

— Pani bo tutaj zapewne i mało masz rozrywki.

— Nudzę się okrutnie! W Dreźnie bywałam na operze, na koncertach, na spacerach.

— Tutaj zapewne jest i brak sąsiedztwa?

— Mieszkają niedaleko państwo *Schmiedecke*, mają dwie córki, ale... ruszyła ramionami wymownie bardzo — dalej mieszkają państwo *Grabke*, już starzy ludzie. Wszystkich widujemy wszelako rzadko, bo stryjaszek nie dość dobrze po niemiecku umie.

— A w Skowronowie bywasz pani?

— Bardzo rzadko, może dwa razy do roku. I stryjaszek mało wyjeżdża. W Gdańsku raz z nim byłam. Ma tam interesa różne i jeździ czasem.

— To i jakże pani czas przepędzasz?

— Nudzę się.

W tej chwili nadszedł gospodarz domu od gumien. I cmoknął proboszcza i gościa na powitanie.

— Mówimy właśnie o tutejszej okolicy— zwrócił się doń Karol — która wcale nie podoba się pannie Marcyannie.

— Bo się nudzę! — zawołała ta ostatnia znowu.

— Nudzisz się — odrzekł stryjaszek — ale ta ziemia chleb daje.

— Toćże daje i gdzieindziej.

— Nie przepadam ja także za temi stronami. A wolałbym przedewszystkiem moje Augustowskie. Tylko, że tam powrócić nie mogę.

— Pan dobrodziej byłeś skompromitowany? — zapytał Karol z zajęciem.

— A nie inaczej. Przybył tam jakiś emisaryusz. Zajechał do mnie niby jako kupiec na pszenicę z Gdańska. Zabawił dni parę. A gdy odjechał, tom dowiedział się dopiero o nim. Aresztowali go pod Suwałkami, rozpoczęło się śledztwo: gdzie przebywał, z kim się widział? to i czmychać było potrzeba. Miałem ładną wioskę i musiałem ją sprzedać pospiesznie, inwentarz i wszystko. Zabrałem ot to dziecko, i dalej drała za granicę.

— Ale żeś to pan dobrodziej właśnie tutaj osiadł?

— Pojechałem do Gdańska, gdziem znajomego miał kupca, bo już parę razy, mieszkając w Płockiem, odstawiałem pszenicę. Posiedziałem tam kilka miesięcy, ależ nudy i drogo; wszystko kup, wszystko opłacaj! A duszno, ciasno... człek ani wiedział, co począć z sobą i z czasem. Nastręczała się, ot, sprzedaż Borek, i kupiłem je od Niemca, który podobno gdzieś tam pod Poznaniem znaczniejszy kupił majątek, znowu pomiędzy *polnische Schweine*—uśmiechnął się szlachcic z Augustowskiego — bo tak zawsze ludność polską przezywał. Kupiłem niedrogo, zysk jest, tylko pracować potrzeba.

Lokajczyk oznajmił:

— Proszę wielmożnego państwa do obiadu.

Pan Karol podał rękę pannie Marcyannie, która jak piwonia zakwitła, i przez sień do stołowego przeszli pokoju, który zarazem i kancelaryą pana domu zawierał.

Objad był pożywny i smaczny. A była i butelka dobrego węgrzyna na stole. Pan Muszalski utyskiwał wszelako, że lepsze w Augustowskiem zapijał.

— A po dwa razy — dodał — sprowadziłem sobie na Zamość cacane winko — I westchnął.—Siedział tam w kazamatach, w rocie aresztanckiej, mój siostrzeniec za kampanię węgierską, i jeździłem do niego. Uprosiła mnie matka, bym grosza zawiózł mu trochę, bo ich tylko grochówką z saletrą żywili, a pracować musiał od trzeciej z rana do siódmej godziny wieczorem. Zastałem biedaka w kajdanach, z podgoloną do połowy głową, w grubym drelichu. Sprawiłem mu nieco ulgi, bo odtąd przynajmniej jadł coś lepszego i pożywniejszego, a podzielał się i z drugimi. Jenerał-komendant był zacny człowiek, prawy, honorowy, poczciwego serca, ale nic nie mógł uczynić, bo każdego tygodnia odchodziły denuncyacye na niego do Warszawy. I plac-major, czystej krwi Moskal, zacny był człowiek i względny o ile mógł, ale każdy własnego lękał się cienia. Zawsze tam tak bywało... A cóż dopiero teraz.

Po objedzie wyszli do ogrodu. Bliżej okien było kwiatków trochę. Dalej ulice obsadzane porzeczkami i agrestem. Na jednym z kwadratów, porosłych trawą, pod rozłożystą jabłonią postawiono stolik i krzeseł parę. Pan domu przyniósł cygara, a lokajczyk na żółtej tacy dwie butelki gdańskiego piwa i szklanki.

Karol usiadł na krześle obok panny, z cygarem w palcach, którego niby zapalić nie śmiał.

— Zapal, panie łaskawy! — zawołał stryjaszek widząc to wahanie się—moja bratanka tego dymku zwyczajna, bo ją dużo palę.

— A przecież tu i świeże powietrze — dodała panna.

Mówiono o stosunkach na Kaszubach, o Poznańskiem, i Marcysia zawołała znowu, pulchne splatając rączki:

— Stryjaszku, tam się przenieśmy! Bo tutaj nudy, nudy, nudy! Zwłaszcza też kto poznał Drezno, operę, muzykę, taras brühlowski... Ach Boże, a tutaj!—I ciężko westchnęła.

Gdy poźniej do pokoju wrócili, prosił Karol pannę, by zagrać raczyła. Nie dała się też i prosić wcale. Usiadła, uderzyła, i skoczna zabrzmiała *polka*, jedna, druga i trzecia, że aż w uszach dzwoniło.

Karol trzy dni w Borkach zagościł i naturalnie, że dnia każdego bywał we dworze, rozmawiał z panem Muszalskim i bawił z panną Marcyanną. Wybadał, że kilkadziesiąt przeczytała romansów, więcej niemieckich, aniżeli polskich, bo o tamte łatwiej było. Po francuzku mówiła wprawdzie, ale błędnie bardzo i najfatalniejszym akcentem. Guwernantkę miała Niemkę, jak to wiemy, lecz ta do zupełnie poślednich należała nauczycielek, i w ogóle niepouczała jej wiele. W Dreźnie, z którym panna Marcyanna tak popisywać się lubiła, była tylko od końca sierpnia do połowy maja. Stryjaszek, jadąc po żniwach do Karlsbadu, bo cierpiał na wątrobę, wziął z sobą siostrzankę, której guwernantka właśnie na Żuławy była za mąż wyszła. Zostawił ją na jednej z podrzędniejszych pensyi i następnego roku, gdy po raz drugi wybrał się na wiosnę do Sprudla, zabrał ją znowu z sobą w powrocie.

Pana Karola raziło wprawdzie niejedno, ala zrażać się nie dał, i dużo ze stryjaszkiem rozmawiał, nabierając coraz silniejszego przekonania, że *fama* prawdę o krociach pana Muszalskiego rozgłasza.

Dnia czwartego wyjechał do Gdańska; chciał to starożytne poznać miasto, będąc tak niedaleko, a zarazem i nastręczyć sobie sposobność, zawadzenia w powrocie znowu o Borki.

W Gdańsku przepytał się także o pana Muszalskiego, a zawsze wielce zadowalniającą odebrał odpowiedź: dziedzic Borek był znany jako człowiek majętny i uczciwy.

Z powrotem zabawił Karol znowu dwa dni. Począł okazywać większy interes dla panny. Patrzył jej zalotnie w oczki, poszepnął jakieś półsłówko miodowe, i poniósł rączkę jej do ust na pożegnanie.

Pan Muszalski ucałował mu obadwa policzki, że aż klasnęło.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Z kraju.

(Piśmiennictwo). Oczekiwane oddawna już Rachunki Bolesławity z r. 1867 pojawiły się wreszcie i narobiły wielkiego hałasu u nas. Dzienniki zapatrują się na nie rozmaicie, każdy wedle swojej miary; ale w ogóle nie można zaprzeczyć, że jest w nich wiele gorzkiej prawdy, którą połknąć potrzeba jak lekarstwo, choć się wzdryga chory. Nic nie pomoże zżymanie się i dowcipkowanie; to zdradza tylko nożyce na stole. Są tam wszakże i miejsca słabe, a najwięcej ich jest w rozdziale o Galicyi, której obraz kreślił autor widocznie nieśmiałą ręką; przytem wszystkiem jednak nie godzi się zarzucać mu lekkomyślności ani tendencyi stronniczej, bo przeciw temu protestuje całe życie, cały zawód literacki Bolesławity. Tego tylko żałować potrzeba, że dzieło jest zbyt drogie, a przezto niedostępne szerszej publiczności.

— W Warszawie nakładem prywatnym, wyszedł obrazek z życia tegoczesnych izraelitów pod tytułem: „Meyersohn Dawid.“

— Poznań dostarczył w tych czasach kilka książek podręcznych dla szkół, jako to: „Wybór z przemian Owidiusza“ dr. Ant. Jerzykowskiego; — Nauka czytania i pisania ułożona przez K. Kwasińskiego, i Książka do czytania dla szkół elementarnych przez tegoż; tudzież broszurę polityczną: Kongres europejski wobec ducha czasu przez K. Czpąrę.

— W księgarni luxemburskiej w Paryżu wychodzi nowe dziełko Agatona Gillera pod tytułem: Polska w walce, które zawiera: 1. Wspomnienie o ks. Benwenutym, sławnym kaznodzieju. 2. Pamiętnik kapelana ks. Serafina Szulca. 3. Opisanie niektórych wojennych wypraw przez Stan. Wierzbińskiego. 4. Przegrana pod Rudnikami. 5. Notatki o powstaniu w powiecie łęczyckim. 6. Opowiadanie żołnierza polskiego o wyprawie z Tulczy.

(Dziennikarstwo). W Galicyi zapowiedziały się w miesiącu sierpniu dwa świeże pisma peryodyczne.

1. Polityczno-ekonomiczne pod tytułem „Reforma“ w Sanoku w zeszytach dwutygodniowych. Program jego obejmuje następujące trzy główe punkta: a) W polityce jesteśmy za federacyą ludów Austryi. Korony niegdyś Jagiellonów, t. j. koronę węgierską, czeską i polską, radzibyśmy widzieli połączone przez dynastyę Habsburgów. b) W kwestyach społecznych jesteśmy za zupełną wolnością i równouprawnieniem wszystkich warstw narodu nie tylko w teoryi, ale i w praktyce. c) Na polu ekonomicznem jesteśmy za wydobyciem się z pod lichwy, która nas przygniata.—Program to wcale poważny; zobaczymy, jak się rozwinie.

2. Naukowe pod tytułem: „Wiadomości z dziedziny stenografii, kaligrafii i typografii,“ wydawane przez Towarzystwo stenografów polskich i ruskich we Lwowie. Potrzeba takiego pisma jest w istocie niezaprzeczoną przy rozwijającem się coraz bardziej życiu politycznem i socyalnem.

— Oprócz tych pojawił się jeszcze temi czasy we Lwowie ćwiartkowy pamflet polityczny pod nazwą: „Makabunda,“ wymierzony przeciw towarzystwu demokratycznemu w obronie delegacyi sejmu galicyjskiego. Pomijamy dążność tego pamfletu, nie zalecającego się zresztą bezparcyalnością; ale co do nazwy jego musimy powiedzieć, że potrzeba było szczególnej fantazyi a oraz nie małej odwagi cywilnej do przybrania podobnego tytułu, mającego prawo obywatelstwa tylko w szynkowniach i zaułkach miejskich. Coś podobnego mogło się zdarzyć tylko w Galicyi!

— Przeglądu Polskiego zeszyt II. roku III na miesiąc sierpień zawiéra następujące artykuły: „Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście i Elekcya króla Henryka“ przez Tadeusza Pilińskiego (dok). — „Wacław z Potoka Potocki“ (studyum literackie), przez Adama Bełcikowskiego. — „Kometa“ przez Szreniawę. — Siegfrieda Hüppego „Verfassung der Republik Polen“ przez Józefa Szujskiego. — „Kronika bibliograficzna.“ — „Przegląd polityczny“ przez L. Powidaja. — „Sprawy ekonomiczne krajowe“ przez C. Hallera.

(Sztuki piękne). Nakładem G. Sennewalda w Warszawie wyszedł Mazur do spiewu z nowej opery Ludwika Grossmanna pod tytułem: „Duch Wojewody.“

— We Lwowie wydał znany kompozytor p. Aloizy Lipiński piękną spiewkę na baryton pod tyt.: „Zawiedziona.“

— Towarzystwo przyjaciół spiewu rozpoczyna z dniem 1. września w swojej szkole spiewu zimowy kurs nauki tak solowego jak i chórowego spiewu.

(Teatr). Lwowskie towarzystwo dramatyczne pod dyrekcyą pana Ad. Miłaszewskiego powróciło już z swojej wycieczki letniej i rozpoczęło z d. 23. sierpnia przedstawienia kursu zimowego.

Na tem miejscu będzie też najstosowniej odpowiedzieć na żądanie „Kaliny“ w sprawie konkursu dramatycznego. Powiedzieliśmy, że nie należało zdradzać tajemnicy autorstwa sztuk, wybranych do nagrody, i obstajemy przy tem. Tłumaczenie się tem, że ktoś mówił to i owo, nie zmienia rzeczy, bo nie wszystko wypada drukować, co się mówi; a co do innych dzienników, za których przykładem miała pójść „Kalina,“ nie wiemy o żadnym, któryby wymienił nazwiska autorów. To nasza odpowiedź. Zresztą nastąpi rozstrzygnięcie sprawy konkursowej w pierwszych dniach września.

(Nowe stowarzyszenie). W Krakowie zawiązało się niedawno nowe stowarzyszenie pod nazwą „Mrówki“ w celu rozszerzania oświaty pomiędzy ludem. Mamy już kilka takich stowarzyszeń, i wypadałoby zastanowić się nad tem, czy nie byłoby lepiej zlać się w jedno dla tem skuteczniejszego działania?

(Fundacja stypendyalna). Pan Maurycy Kolischer we Lwowie, chcąc uczcić pamięć syna swego Leona, zmarłego dnia 7. czerwca r. b., i czyniąc zadość życzeniu jego ustanowił stypendyum dla ucznia gimnazyalnego, wyznania mojżeszowego, rodem ze Lwowa. Kapitał na tę fundacyę przeznaczony wynosi 2000 złr.

(Kalwarya Zebrzydowska), słynąca od półtrzecia już wieków w całej Polsce swojemi odpustami, była i w tym roku bardzo licznie zwiedzaną przez wiernych z różnych stron kraju i z sąsiednich Moraw, Szląska i Słowaczczyzny zatatrzańskiej. Około stutysięcy było tam zgromadzonego ludu, gdyż do komunii św. przystępowało 95.000 osób.

(Nekrologia). Dnia 3. sierpnia zmarł w Krakowie w sędziwym wieku jeden z najznakomitszych polskich archeologów, Ambroży Grabowski, któremu Polska a szczególnie Kraków zawdzięczają ocalenie od zagłady lub zapomnienia niejednej drogiej pamiątki historycznej. Któż z Polaków szanujących przeszłość narodu, nie zna szacownych prac Grabowskiego na polu archeologii i historyi? Dość wymienić takie dzieła jak „Opis historyczny miasta Krakowa i jego okolic“ — „Groby królów polskich w katedrze krakowskiej“ — „Starożytności historyczne polskie“ — „Skarbniczka naszej archeologii“ i t. d., ażeby wykazać wielką zasługę, jaką położył dla narodu ten badacz starożytności. To też imię jego zapisało się jak najchlubniej w pamięci narodu.

Grabowski pracując do ostatnich dni życia, pozostawił jeszcze rozmaite rękopisma i zbiory, mianowicie plakatów, broszur, wiadomostek, notat, które będą obfitem a znakomitem źródłem dla historyografa Krakowa. Ogromny to zapas skrzętnie przez lat 60 własną ręką spisywanych i gromadzonych szczegółów. Oprócz wielkiej liczby takich woluminów oprawnych jest jeszcze w bibliotece sieniawskiej Sylva rerum, rękopis złożony tam przez Grabowskiego w r. 1865. Nazwał on tę zbieraninę Archiwum sekretne, a zawarł w niej polityczne uwagi, sądy o ludziach znakomitych, z którymi w bliższych zostawał stosunkach, anegdoty, żarty, fraszki, wierszyki i t. p. Księgę tę zakończa zbiór broszur i pisemek krakowskich, ogłoszonych w chwilach politycznych wstrząśnień.

Ze świata.

(Sekta Trzęsicieli w Ameryce północnej.) Jak w Europie Moskwa, tak w Ameryce Stany Zjednoczone obfitują najbardziej w sekty religijne wszelkiego rodzaju; i to jest rzeczywiście grunt, na którym stykają się te dwa antagonizmy: despotyzm i wolność republikańska. Ostatecznym rezultatem tego sekciarstwa jest brak wszelkiej religii, gdyż zarówno gwałcenie sumienia jak i rozpasanie jego kończy się obłędem religijnym, i chyba na tej spólności mogłaby się opierać dzisiejsza przyjaźń Moskwy z Ameryką północną. Wróćmy jednak do rzeczy.

Jedną z najciekawszych i podobno najmniej wybujałych jeszcze sekt Ameryki północnej stanowią tak zwani „Trzęsicieli (Chakers), rodzaj gminy kwakerskiej, zamieszkującej prześliczną okolicę u podnóża góry Lebanon w ziemi nowojorskiej. Mr. Henri Vincent, który zwiedzał niedawno siedzibę tej sekty, podaje o niej następujące szczegóły:

Sekta „Trzęsicieli“ dzieli się na familie, i na podgórzu Lebanonu mieszka w stosownem oddaleniu trzy takich familii, mianowicie: familia północna, kościelna i południowa. Pierwsza liczy

60 braci i sióstr, druga 120. Nowe Towarzystwo Lebanońskie obejmuje w ogóle ośm takich familii, liczących razem 500 braci i sióstr, i posiada do 6000 morgów ziemi wybornie uprawionej. Cała unia „Trzęsicieli“ składa się z 18 kwitnących towarzystw, których członkowie ślubują celibat (bezżenność), a co do dóbr świeckich rządzą się komunizmem. Bracia i siostry familii północnej mieszkają w trzech pięknych, dobrze zbudowanych domach, gdzie wiodą życie wspólne, tylko sypialnie mają osobne dla kobiét i dla mężczyzn. Wszyscy wstają zrana o godzinie 4tej, jedzą śniadanie o 6tej, obiad o 2giej, wieczerzę o 6tej, i idą spać około godziny 10tej. Przy obiedzie zajmują kobiéty jeden róg stołu, a mężczyzni drugi; przed jedzeniem odmawiają wszyscy klęcząc cichą modlitwę. Mr. Vincent był także świadkiem ich obrzędów religijnych. Gdy wszyscy zbiorą się na nabożeństwo, staje na środku pokoju trzech braci i trzy sióstr naprzeciw siebie, a reszta ustawia się kołem, i gdy owi bracia i siostry w pośrodku spiewają hymny, kręcą się inni podrygując dokoła nich, zkąd też pochodzi ich nazwa „Trzęsicieli“ (tańcujących kwakrów), i wyciągają przytem ręce do góry, jak gdyby chcieli pochwycić błogosławieństwo. Ta ceremonia odbywa się codziennie z pewną uroczystą powagą, a w niedziele tylko z tą różnicą, że i spiew i taniec bywa żywszym i namiętniejszym. Jeźli zajdzie spór lub nieporozumienie między członkami gminy, używają oni tak zwanej „chrześciańskiej metody,“ ażeby pogodzić zwaśnionych, mianowicie rozmawiają z bratem lub siostrą, która dała powód do sporu, skrycie i na osobności; gdy zaś to nie pomaga, oddają sprawę sporną do załatwiania kościołowi. Moralny jednak charakter tych szczególnych ludzi ma być nieskazitelnym.

Trzy nowe podania o stworzeniu człowieka. Sławny francuzki misjonarz Huc przytacza w swoim dzienniku podróży następujące trzy ciekawe legiendy:

1) Podzielony ojciec. Pewien stary Tybetanin, z którym rzeczony missjonarz zapuścił się w rozmowę o rozszerzeniu rodzaju ludzkiego na ziemi, wystąpił przy tej sposobności z następującem opowiadaniem: „Z początku był tylko jeden człowiek na ziemi. Nie miał on ani domu, ani namiotu, bo w zimie niebyło wtedy mroźno, a w lecie nie piekło słońce; wiatr powiewał łagodnie; ani deszcz ani śnieg nie padał; herbata rosła sama z siebie na górach, i bydło nie potrzebowało lękać się drapieżnych zwierząt. Pierwszy człowiek spłodził trzech synów, którzy przez długi czas żyli przy nim, żywiąc się mlekiem i owocami. Wreszcie umarł ojciec po bardzo długiem życiu w zgrzybiałej starości. Synowie naradzali się, co zrobić z ciałem ojca, i nie mogli przyjść do zgody, bo każdy opierał się przy swojem zdaniu. Jeden chciał pogrzebać je w trumnie, drugi był za tem, ażeby je spalić; trzeci zaś uważał za najlepsze, złożyć je na szczycie góry. W końcu zgodzili się na to, ażeby podzielić się ciałem ojca i rozejść po świecie. Najstarszy otrzymał głowę i ręce; on był praojcem wielkiej rodziny chińskiej, i jego potomkowie słyną przeto ze sztuk i rzemiosł, odznaczają się rozumem i są bardzo zmyślni w wynajdywaniu fortelów i podstępów. Najmłodszemu z braci, ojcu wielkiej rodziny tybetańskiej, dostały się piersi i żołądek rodzica; dlatego są Tybetanie pełni serca i odwagi, nie lękają się śmierci, i mają pomiędzy sobą szczepy, które nigdy jeszcze nie zostały pokonane. Średni syn nareście, od którego pochodzą ludy tatarskie, dostał w podziele dolne części ciała; dlatego też są potomkowie jego, Mongoły, głupcy i tchórze, bez głowy i bez serca, a jedyną ich zaletą jest to, że jeżdżą doskonale na koniu. Tak tłumaczą Lamowie (kapłani) pochodzenie trzech wielkich rodów, mieszkających pod słońcem, i różnicę ich charakterów, która zasadza się na tem, że Tatarzy są dobrymi jeźdźcami, Tybetanie dobrymi żołnierzami, a Chińczycy dobrymi kupcami.“

2) Biały — Brunatny — Czarny. Pomiędzy Indyanami w Ameryce utrzymuje się szczególne podanie o pochodzeniu białego człowieka i jego przewadze. Opowiadają oni, że wielki duch stworzywszy ziemię, stworzył także trzech ludzi, którzy mieli wszyscy piękną białą cerę. Zaraz po stworzeniu zaprowadził ich na brzeg małego jeziora, kazał im wskoczyć do niego i obmyć się. Jeden usłuchał, i wyszedł z wody czystszy i piękniejszy niż przedtem. Drugi wahał się chwilę; przez ten czas zmąciła się nieco woda, w której kąpał się pierwszy, i gdy się w niej zanurzył, przybrała skóra jego cerę brunatną. Trzeci nakoniec wskoczył do wody dopiero wtedy, gdy już całkiem poczerniała od brudu, i wyszedł też z niej czarny jak węgiel. Potem położył wielki duch przed nimi trzy pakiety, i czarnemu człowiekowi, z litości nad upośledzeniem jego w kolorze, zostawił pierwszy wybór. Ten obmacał wszystkie trzy pakiety, porównywał ich wagę i wybrał najcięższy; po nim chwycił brunatny również pakiet mający większą wagę, a białemu człowiekowi pozostał najlekszy. Gdy potem otworzono pakiety, znalazł pierwszy w swoim łopatę, motykę i wszelkie narzędzia robotnicze; drugi narzędzia myśliwskie, rybackie i wojenne, a biały pióra do pisania, atrament i papier — oręże ducha, któremi zdobył swoją wyższość.

3) Początek ras. Murzyni nad Senegalem opowiadają o stworzeniu rodzaju ludzkiego i o powstaniu ras następującą tradycyę: „Gdy Bóg przystąpił do stworzenia człowieka, wziął gliny, wyrobił z niej postać ludzką i włożył w piec, ażeby się wypaliła, poczem miał tchnąć w nią ducha. Ale forma gliniana za krótko była w ogniu i wyszła z pieca całkiem blada; tak powstał człowiek biały, Europejczyk, stworzenie niedokończone, które Bóg — jako niegodne siebie — odłożył na bok. Drugą formę pozostawił dłużej w piecu; gdy ją wyjął, miała kolor ciemniejszy, ale przecież nie była jeszcze doskonałą; to był początek Araba. Wtedy zabrał się Bóg po raz trzeci do dzieła i powstał Murzyn, to jest, istotnie skończone i najdoskonalsze dzieło stwórcy wyszło z pieca. Stworzywszy tym sposobem Białego człowieka, Araba i Murzyna, uspił ich Bóg, położył przy nich sakiewkę ze złotem, i postawił konia w pobliżu. Pierwszy przebudził się Biały, spostrzegł jedno i drugie, wziął sakiewkę i odszedł. Po nim otworzył oczy Arab, wskoczył na konia i znikł w puszczy. Murzyn zaś piękniejszy i leniwszy niż jego bracia, nieznalazł już nic za przebudzeniem się, i biedaczysko skazany jest teraz na wieczną pracę za to, że praojciec jego szczepu spał cokolwiek za długo.“

Trzeba przyznać, że w tych legiendach jest wiele fantazyi i dowcipu.

(Zwyczaje małżeńskie w Australii.) Angielskie „Atheneum“ podaje zabawne opisanie zwyczajów małżeńskich

w Australii. Podług niego jest małżeństwo pomiędzy krajowcami prostym interesem handlowym: za żonę daje się pewną ilość skórek kiengurowych lub piżmakowych; bogaczom wolno mieć więcej żon. W braku takich skórek można przyjść do żony innym łatwym sposobem: szuka się zaczepki z pierwszym lepszym małżonkiem, stacza z nim bójkę, i w razie zwycięstwa otrzymuje się żonę jego w nagrodę.

Nieco zawilszą, ale oraz nie bardzo przyjemną jest ceremonia zaślubin w Nowej Zelandyi. Młodą dziewczynę prowadzi przed narzeczonego ojciec sam, trzymając w jednej ręce spisę a w drugiej siekierę. Biedne dziécię, idąc z pochyloną głową, płacze głośno i opiera się nieco. Wtedy czuły ojciec ściąga je dla zachęty kijem po głowie; dziewczyna krzyczy a z nią jej matka. Potem chce pan młody uprowadzić przemocą swoją narzeczonę; ona się opiera, a on używa tego samego środka, co ojciec. Wreszcie następuje mniej więcej umówiona naprzód i regularna bitka pomiędzy osobami sprzyjającemi dziewczynie i jej konkurentami. Pan młody wyzywa swoich rywalów, wszczyna się zacięta walka, i nieraz pan młody nakłada głową; zwykle jednak pośredniczą starce, którzy mają wyłączne prawo do tego. Podczas tej walki ucieka dziewczyna do matki, ale po skończonej walce wraca ojciec, wyszukuje ją, chwyta za włosy, i wlecze aż pod chatę męża. W końcu zmuszona zniewagą i biciem poddaje się biedna ofiara swojemu losowi, i staje się potem doskonałą gospodynią, a raczej uległą niewolnicą. Niechże ją przynajmniej pożałują nasze piękne czytelniczki!

(P o j e d y n e k n a u l i c y). W Nowym Yorku, tej kolebce emancypacyi niewieściej, gdzie kobiéta coraz śmielej wypowiada wojnę wszelkim ustawom socyalnym, wydarzył się niedawno wypadek, świadczący, jak niebezpiecznie jest tam zadzierać się z płcią piękną. Dziewica amerykańska, jeźli w braku dowodów nie może pociągnąć przed kratki sądowe Don Juana, który się jej sprzyniewierzył złamaniem obietnicy małżeństwa, nie poprzestaje na złorzeczeniu zdrajcy, jak inne śmiertelniczki w podobnem położeniu, gdzietam — wyzywa go na pojedynek!

Dnia 23. kwietnia — opowiada jeden z dzienników tamtejszych — szedł ulicą oficer od marynarki w pełnym uniformie, z szkiełkiem w oku, oglądając się co chwila za jakąś piękną twarzyczką, przemykającą środkiem ulicy, gdy naraz ujrzał przed sobą młodą, piękną pannę w towarzystwie dwóch jej przyjaciółek. Porucznik udał, że jej niewidzi, i chciał czmychnąć na przeciwny trotoar.

— Poruczniku Maldig, proszę na chwileczkę — zagadnęła go Miss Cookburn chłodno, zastępując mu drogę.

— A! dobrydzień, Miss Cookburn, jak się pani miewa? — odparł zagadnięty nadrabiając miną.

— Nie idzie tu o to, jak się miewam, lecz o zamiary pańskie względem mnie. Przedwczoraj oświadczyłeś pan mojej matce, że nie możesz żenić się ze mną, bo nie masz majątku.

— Mój Boże! czyż moglibyśmy wyżyć oboje z mojego szczupłego żołdu?

— O tem wiedziałeś pan już wtedy, gdyś prosił o pozwolenie zalecania się do mnie; więc czyniłeś to w złych zamiarach?

— Przysięgam, Miss Cookburn, że miałem najlepsze zamiary na świecie!

— Próżne słowa! Nie na to zatrzymałam pana, by się spierać o powody jego postępowania. Od sześciu miesięcy uważam się za narzeczonę pana, ponieważ dałam słowo na to; chceszże pan teraz w obecności moich dwóch przyjaciółek naznaczyć czas, kiedy zostanę jego żoną?

— To być nie może! Chociaż mocno żałuję, nie mogę ożenić się z panią.

— Słyszycie! — zawołała Miss Cookburn zwracając się do swoich towarzyszek.—Mówiłam wam, że wina nie z mojej strony.

Kupka ciekawych zaczęła zbierać się około dziewcząt i oficera, który byłby się chętnie skrył w mysią jamę.

— Gdybym miała ojca lub brata — ozwała się znowu Miss Cookburn — pozostawiłabym im rozprawienie się z panem; ale ponieważ ich niemam, muszę sama bronić mojej sprawy. Poruczniku Maldig — dodała wyciągając podwójny rewolwer z zarękawka — żądam zadośćuczynienia za twoje wiarołomstwo!

— Brawo, Miss! — mruczeli widzowie — niech się strzela!

Równocześnie z Miss Cookburn wyjęła także jedna z jej przyjaciółek pistolet i podała po oficerowi mówiąc:

— Broń się pan, bo to nie żarty!

Gdyby nie widzowie, byłby porucznik niezawodnie się oddalił, gdyż pojedynek oficera z kobiétą, to rzecz cokolwiek za śmieszna; a przecież musiał pozostać. Miss Cookburn odstąpiła na dziesięć kroków i stanęła na trotoarze w postawie pojedynkowej.

— Sto przeciw jednemu na młodą damę! — wołały rozmaite głosy z tłumu, który się ugrupował po obu stronach ulicy. Porucznik Maldig wziął z uśmiechem pistolet i odszedł również na dziesięć kroków, ale zdawało się, że niechce strzelać.

— Głowa lub napis, kto pierwszy strzela! — zawołała Miss na swoje sekundantki.

— Nie, strzelaj pani pierwsza — rzekł porucznik.

— Protestuję — odparła Amazonka w krynolinie — niech los rozstrzyga.

Rzucono pieniądz, los sprzyjał damie. Miss Cookburn wyciągnęła rękę z rewolwerem, i z wyrachowaną powolnością doświadczonego strzelca mierząc z góry na dół strzeliła. Kula przeszyła kaszkiet porucznika. Teraz podniósł on pistolet i mierzył długo w swoją przeciwniczkę, która stała spokojnie jak przykuta.

— Strzelajże pan! — zawołał ktoś z tłumu.

— Za nic w świecie!— odparł porucznik opuszczając rękę— wolę przeprosić moją piękną przeciwniczkę, niż narażać jej życie na niebezpieczeństwo.—I trzymając pistolet w jednem a kaszkiet w drugiem ręku, ukłonił się pannie Cookburn i rzekł głośno: — Przyznaję się do winy i błagam o łaskę; a jeźlibyś pani niechciała teraz zostać moją żoną, strzeliłbym sobie w łeb natychmiast,

Cóż było robić? Miss Cookburn nie miała serca skazywać na śmierć tego, którego zawsze jeszcze kochała, a który tak mocno pragnął naprawić swoją winę. Podała mu więc rękę, która przed chwilą strzeliła do niego, wróciła z nim wśród radośnych okrzyków tłumu do domu, a wkrótce potem połączył ich węzeł ślubny. Tak się żenią w Ameryce!

(Ilość gwiazd). Patrząc na niebo zasiane gwiazdami nie przypuszcza nikt pewno, by niezliczona mnogość tych światełek niebieskich dała się objąć jakąkolwiek cyfrą. A przecież kusił się już o to niejeden znakomity astronom. Bode, pierwszorzędny badacz świata nadpowietrznego, przekazał nam w swojej uranometryi katalog obejmujący 17000 gwiazd; Laland naliczył ich 47000, Bessel 30000, a Harding spisał na 27 kartach 120000 gwiazd. Tę cyfrę jednak przewyższają o wiele obliczenia sławnego Argelandera, dyrektora wieży astronomicznej w Bonn, który — chociaż starzec już wiekiem — z odwagą i wytrwałością prawdziwie młodzieńczą zajmują się ciągle jeszcze obliczaniem i oznaczaniem miejsca gwiazd nieruchomych. Ze wszystkich badań pokazuje się, że liczba gwiazd pierwszego rzędu wynosi 20, drugiego rzędu 65, trzeciego 190, czwartego 425, piątego 1100, szóstego 3200, siódmego 13000, ósmego 40.000, dziewiątego 142000, a każdego następnego rzędu prawie 3 razy więcej, niż poprzedniego. Dalej zaś ustaje już liczenie, a miejsce jego zajmuje szacowanie. Podług tego okazuje 20stopowy teleskop, powiększający 180 razy, jakim był teleskop Herschla, na całem niebie 20,000.000 gwiazd, zaś 40stopowy teleskop tego samego astronoma pokazywał w samej tylko drodze mlecznej 18,000.000 gwiazd.

(Olbrzymia prasa drukarska.) Londyński dziennik „Times" donosi, że w jego pracowniach robiono próbę z prasą przewyższającą wszystko, co dotychczas w zawodzie drukarskim wynaleziono i zdziałano. Nieskończony papier owija się około walca, który dostarcza papieru wedle potrzeby prasie; tym sposobem może maszyna w przeciągu godziny wydrukować 46000 arkuszy; przytem odcina sama każdy arkusz, składa go i oddaje całkiem gotowy. Czegoż chcieć więcej!

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1868.

Najnowszy skorowidz wszystkich miejscowości Galicyi. Przemyśl 1868
Alth. Zasady mineralogii. Zeszyt I. Kraków 1868.
Vivia perpetua, czyli: Zastęp bohaterów chrześciańskich. Obraz z III. wieku. Kraków 1868.
Anczyc. Robinson Krusoe. Warszawa 1868.
Mokłowski M. Wiersze. Lwów 1868:
Zacharjasiewicz. Zakazane owoce. Powieść. Warszawa 1868.
Powieści żółte dla dzieci. Warszawa 1868.
Becker. Powrót Ulissesa do Itaki. Lwów 1868.
Zarański. Zarys dziejów nauki czytania. Kraków 1868.
Starkel. Terenia w kłopocie. Paproć. Lwów 1868.
Komorowski B. Po śmierci. Komedya. Lwów 1868.
Fredro A. Przed śniadaniem. Lwów 1868.
Rymarkiewicz J. Prozaika, stylistyka prozy. Poznań 1868.
Rocznik Towarzystwa hist.-literackiego 1867. Paryż 1868.
Mickiewicz A. Pisma 3 tomy. Paryż 1868.
Niewęgłowski C. Geometrya. Paryż 1868.
Mickiewicz A. Les premieres siecles de la Pol. Paris 1868.
Message polon. aux parlements d'Europe. Paris 1868.
Rzewuski H. Próbki hist. (Pisma pośmiertne wydane przez Bolesławitę) Lipsk 1868.
Kolumna Z. Pamiątka dla rodzin polskich. II. Dodatek. Krak. 1868.
Przyczyny ubóstwa włościan w Galicyi. Lwów 1868.
Kowalski T. Ks. Gnomonika, nauka robienia zegarów słonecznych. Przemyśl 1868.
Małecki A. O naturze spółgłoski j. Lwów 1868.
Ostaszewski T. Moje dobre chęci. Powiastki, bajki. Lwów 1868.
Galizien und Cisleytanien. Brosz. Lemberg 1868.
Smiles. Prawdą a pracą. (Self-help). Kraków 1868.
Feldmanowski H. Do historyi sporów o pisownię L. Rzepeckiego. Poznań 1868.
Merunowicz. Gminne kasy pożyczkowe itd. Lwów 1868.
O prześladowaniu kościoła rzym. i grec.-katolickiego przez szyzmę. (Młocki). Lwów 1868.
Nie zapominajcie o umarłych itd. Poznań 1868.
Haza W. Kilka słów o Dzienniku Poznańskim itd. Poznań 1868.
Machczyńska. Powieści dla młodocianego wieku. Poznań 1868.
Pamiętnik J. H. Dąbrowskiego i wojska pols. od 1813. Poznań 1868.
Libelt K. Koalicya kapitału i pracy. Poznań 1868.
Urbański W. Fizyka na klasę IV. gimn. Warszawa 1868.
Seredyński Wł. Pedagogia polska. Lwów 1868.
Morzycki A. Uwagi nad systematem fizyologii powsz. Supińskiego. Poznań 1868.
Czasopismo prawu i umiejętnościom politycznym poświęcone. Kraków 1868.
Pamiętnik czynności jen. H. Dąbrowskiego od bitwy pod Lipskiem. Poznań 1868.
Burzyński P. Prawo polskie. II. Kraków 1868.
Grabowski A. Przewodnik do grobów królów polskich w Katedrze. Kraków 1868.
Dylewski. Jak u nas dźwigać rolnictwo i przemysł. Lwów 1868. Br.
Jaki jest najkorzystniejszy sposób gospodarowania itd. Poznań 1868.
Przezdziecki A. Jagiellonki polskie. II. Kraków 1868.
Siemieński. Portrety literackie. III. Poznań 1868.
Kominkowski. Kilka słów w sprawie żydów. Kraków 1868.
Zaleski J. B. Poezye. Poznań. 1868. 2 tomy.
Günsberg. Szkoły techniczne. Lwów 1868.
Tatomir L. O królu Kazimierzu W. Lwów 1868.
Bajron. — Kain. Poemat dramat. (tł. Pajgert.) Lwów 1868.
Rzewuski. Pamiątki Soplicy. (Brockhaus.) Lipsk 1868.
Gaszyński. Poezye. (Brockhaus.) Lipsk 1868.
Forster K. Klasom pracującym polskim, drugie 6 książek. 7 — 12. Berlin 1868.
Wianeczek modłów do Opatrzności boskiej. Warszawa 1868.
Trzydniowe rekolekcye dla panien. Warszawa 1868.
Poezye obłąkanego. Lipsk 1868.
Noworocznik dla nauczycieli na 1868. Bydgoszcz 1868.
Beneveni. Odczyty o wystawie paryskiej 1867. Warszawa 1868.
Engelhardt J. B. Karte von Polen. Berlin 1868.
Rordyk S. O nieodwołalności darowizn między żyjącymi itd. Warszawa 1868.
Hoffmann K. O pańslawizmie zachodnim. Poznań 1868.
Pamiętniki pudla. Poznań 1868.
Loefler A. Katechezy szkolne. I. (tł. Fijałkowski.) Tarnów 1868.
Tyszkiewicz H. O kurhanach na Litwie i Rusi zachodniej z atlasem. Berlin 1868.

Wydawca i nakładca: F. H. Richter. Redaktor odpowiedzialny: Fr. Waligórski. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.